

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Walerian Drohiczyn
FERALNY WTOREK



Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Walerian Drohiczyn

FERALNY WTOREK



ISKRY. WARSZAWA. 1971

I

Wybiła godzina 18.00. Z wyraźną satysfakcją sięgnąłem po opasły tom akt. Wszystko wskazywało na to, że sprawcę już znałem; teraz musiałem tylko dowiedzieć się, jaki był przebieg sprawy. Na kartonowej okładce akt ktoś z wojewódzkiej komendy wykaligrafował napis: SPRAWA GWAŁTOWNEJ ŚMIERCI BARTŁOMIEJA WŁADYSŁAWA MISIA. Dalej numer 6. Ds 136/63, u dołu adnotacja: Decyzją Prokuratora Wojewódzkiego z 27.08.63 na zasadzie art.

3 lit. c kpk sprawę umorzono.

Teraz tę umorzoną sprawę ożywiałem na nowo. A było to tak:

— Kapitanie — powiedział mi znajomy handlarz obrazów, od którego starałem się uzyskać informację w innej sprawie. — Kapitanie, może pana zainteresuje, że ten obraz, no wie pan który, ten, co go miał nieboszczyk Miś, i który potem zaginął, oferowany jest teraz do sprzedaży?

Było to trzy dni temu, we wtorek. Wtedy właśnie po raz pierwszy w życiu usłyszałem nazwisko Misia. Wkrótce potem wiedziałem o nim znacznie więcej, I o jego śmierci.

Prokuratura orzekła: samobójstwo. Ja już wiedziałem, że morderstwo. Nie wiedziałem tylko, kiedy gdzie i jak. Chyba otruty? — pomyślałem otwierając akta. Pomyliłem się.

II

Śnieg przestał właśnie prószyć i silne reflektory parowozu oświetlały doskonale torowisko i pobocze. Biegący z Lublina pociąg osobowy nr 2116 zbliżał się już do Warszawy. Jeszcze jeden postój po drodze w Otwocku i później już tylko Warszawa Wschodnia. Kierownik pociągu myślał właśnie, że po zdaniu składu najpóźniej za dwie godziny będzie już w domu, gdy usłyszał krzyk jakiegoś pasażera.

— Tam, tam! Trzeba zatrzymać pociąg! Człowiek leży na torzel

Kierownik podskoczył do okna, lecz pociąg już zwalniał

biegu. Ktoś szarpnął za hamulec bezpieczeństwa. Kolejarz wyskoczył, poświecił latarką. Kilka metrów od toru leżał

człowiek. Na śniegu ciemniały liczne plamy krwi. Był to starszy mężczyzna, dobrze już po sześćdziesiątce; żył jeszcze, ale był nieprzytomny. Pasażerowie otoczyli go kołem, przepychali się, ale nikt nie miał ochoty podejść do rannego. Wreszcie maszynista Galiński przepchnął się przez tłum. Nachylony nad mężczyzną, chwilę mu się przyglądał. — Pomóżcie no... —

powiedział. Wspólnie unieśli leżącego. Jęczał słabo.

Przenieśli go do najbliższego przedziału. Pasażerowie jeszcze zadeptywali miejsce wypadku, szukali, czy nie leży coś w pobliżu. Nie znaleźli niczego.

Pociąg powoli ruszył. Było może kwadrans po godzinie 21.00.

Dokładnego czasu nie ustalił później nikt. Wiadomo tylko, że o godzinie 21.28 w dniu 2 lutego 1963 r. komenda powiatowa milicji obywatelskiej w Otwocku otrzymała meldunek telefoniczny, że na stacji kolejowej znajduje się umierający mężczyzna.

Pół godziny później był już w szpitalu. Tam o godzinie 22.34, nie odzyskawszy przytomności, zmarł. Przy denacie nie znaleziono dowodu osobistego ani niczego, co pozwoliłoby ustalić jego tożsamość.

Lekarze walczyli jeszcze o życie nieznanego, gdy trzy milicyjne radiowozy dotarły na miejsce wypadku. Zdeptany krąg śniegu, w jego środku krwawe plamy stwierdzały, że tutaj właśnie leżała ofiara. Ekipa śledcza przystąpiła do oględzin.

Wyniki były mierne. Jeśli w pobliżu wypadku znajdowały się nawet jakieś ślady, to zostały całkowicie zdeptane przez pasażerów lubelskiego pociągu. Nieco dalej można było odszukać ślady męskich stóp, a w innym miejscu — przejeżdżającego roweru. Tym razem pomógł proszący

wcześniej śnieg. Te stare ślady były lekko przysypane, podczas gdy pasażerowie pozostawili czyste odciski butów.

Sierżant z komendy powiatowej sporządził szkic miejsca zdarzenia. Szef ekipy — młody, pyzaty porucznik — poszedł w kierunku, gdzie wiódł rowerowy trop. Niestety, sto metrów dalej trop gubił się na brukowanym trakcie łączącym wsie Miętnów i Barbara. Może 400 metrów dalej znajdowała się zagroda. Miejscowy milicjant, towarzyszący oficerowi, z przejęciem informował, że mieszka tutaj niejaki Fetczak, podejrzany parokroć o udział w napadach; niestety, nigdy nie było przeciwko niemu dostatecznych dowodów. Porucznik zdecydował się szybko:

—Idziemy tam!

W domu było ciemno, lecz wystarczyło zastukać, aby gospodarz otworzył drzwi. Wielkie, ponure chłopsko. Był kompletnie ubrany. Z wyraźnym niepokojem patrzył na milicjantów.

— Co robiliście dzisiaj przez cały dzień? — zapytał porucznik.

Fetczak mówił płynnie, jakby recytował wyuczoną lekcję.

— A bo to, proszę pana porucznika, z gospodarki trudno wyżyć i człowiek musowo stara się dorobić. Ja przez zimę pracuję u pana dróżnika Kiwilszy przy torach, podsypkę zmieniamy i co tam po-trzeba. Zarobić można i praca tuż przy domu. Od rana byłem na robocie sam, tuż obok, przygotowywałem zmianę podkładów. Na jakim odcinku? Ano, dobre pół kilometra od przejazdu w stronę Otwocka...

Porucznik przyjrzał się mężczyźnie uważnie. Ten patrzył w ziemię, mówił monotonnym głosem, jakby z góry wiedział, co interesuje oficera. Pracował na tym właśnie odcinku, na którym znaleziono nieznanego.

— Robiłem do południa — relacjonował Fetczak. — Potem wskoczyłem do chałupy na obiad, a przed drugą znów wróciłem do roboty. Fajrant zrobiłem, jak już było dobrze ciemno. Potem wróciłem przez las do siebie. Czy widziałem kogoś? Koło południa przyszedł pan Kiwilsza jeszcze z jakimś innym panem. Tamtego drugiego nie widziałem, bo zatrzymał się przy drodze, a do mnie podszedł tylko pan dróżnik. Przed wieczorem, jak już się zmierzchało, wzdłuż toru szedł, prowadząc rower, Klonowicz Sebastian, syn Jana ze wsi Barbara. Znam go dobrze.

Pytał się, kiedy zejdę z roboty i mówił, że wziął rower od teścia, żeby go zreperować. Nikogo innego nie widziałem, nic nie słyszałem. Starszy mężczyzna, wysoki w szalej jesionce?

Nikogo takiego nie widziałem dzisiaj. Wczoraj także nie. Tutaj u nas nie spotyka się obcych. Latem to i owszem, przyjeżdżają rozmaici, ale zimą nie.

Klonowicza zastali w domu, gdy na środku izby kończył

smarować rower. Był bardziej zaintrygowany niż zaniepokojony wizytą milicji.

— Owszem, Fetczaka spotkałem. Gadaliśmy chwilę, śmiałem się, skąd mu się dzisiaj tak na pracę zebrało. Normalnie, jak popracuje dwie godziny, to ma dość i idzie do geesu na piwo.

Żeby pracował

aż w noc, to mu się chyba od dawna nie zdarzyło. Jak pytałem się go, czego dziś taki robotny, powiedział, że dla forsy to i u diabła mógłby pracować. Nikogo innego nie widziałem już więcej. Tak, prowadziłem rower przy samym torze. Która mogła być godzina? No, teraz się już później zmierzcha, ale na pewno po czwartej.

Na miejscu wypadku kilku funkcjonariuszy badało możliwość wyrzucenia albo wypadnięcia nieznanego z pociągu. Znaleziono go po prawej stronie torów, patrząc w kierunku Warszawy.

Oznaczało to, że mógł wypaść czy wyskoczyć z pociągu jadącego w kierunku stolicy. Pociągów takich było sporo, średnio co trzy kwadransy jeden. Ciało leżało kilka metrów od toru. Gdyby skakał

sam, doskoczyłby na taką odległość. Jeżeli go wyrzucono, musiałyby to zrobić przynajmniej dwóch mężczyzn.

III

Protokół oględzin miejsca znalezienia nieznanego mężczyzny przeczytałem z przekąsem. Jednak dzisiaj nie sporządziłby już nikt tego dokumentu tak niefachowo. Przez ostatnie siedem lat kwalifikacje naszych funkcjonariuszy poważnie wzrosły. Wtedy robił to jakiś słaby pracownik. Bo proszę: napisał, że przeszukano teren wokół miejsca znalezienia denata dokładnie, lecz nie wiadomo, w jakim promieniu. Nie znaleziono zresztą nic. W protokole ani na szkicu nie zostało zaznaczone dokładnie, w jakiej odległości od toru leżał nieprzytomny mężczyzna. Na szczęście dokonane zostało zdjęcie fotograficzne miejsca wypadku. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można na tej podstawie ustalić, że nieznanemu leżał 5 do 7 metrów od toru kolejowego. To raczej wykluczało, że denat z pociągu wypadł czy też sam wyskoczył. Na taką odległość mógł skoczyć tylko silny, zdrowy mężczyzna, ale nie emeryt, grubo po sześćdziesiątce.

Następny dokument: protokół sekcji zwłok, sporządzony przez Zakład Medycyny Sądowej w Warszawie. Tym razem sporządzali go dobrzy fachowcy. Obszerny opis, fachowe terminy. A oto, co najbardziej istotne: śmierć nastąpiła w wyniku ran tłuczonych czaszki w okolicy ciemieniowej i potylicznej, co spowodowało zniszczenie niezbędnych dla życia ośrodków nerwowych. Inne rany, zresztą bardzo liczne: rana kłuta łokcia lewego, rana cięta grzbietowej powierzchni i powierzchowne rany cięte wewnętrznej powierzchni nadgarstka lewego. Ponadto złamanie sześciu żeber po lewej stronie. W jakiej pozycji znaleziono zwłoki? — zastanowiłem się. Niestety w aktach nie było wyjaśnione, czy denat leżał na lewym boku, czy też w innej pozycji. Wróciłem do protokołu. Złamanie chrząstki tarczowej szyi — bardziej charakterystyczne dla uduszeń niż obrażeń spowodowanych wypadnięciem z pociągu. Wreszcie otarcia i zasinienia guzów czołowych i koniuszka nosa: obrażenia typowe, gdy ciągnie się kogoś za nogi po ziemi.

Biegły ocenił, że w konkretnych warunkach dnia wypadku ranny mógł w miejscu znalezienia przeleżeć dwie do trzech godzin. Oznaczało to by, że znalazł się on tam, gdzieś między osiemnastą a dziewiętnastą. W tym czasie prószyl lekki śnieg, było dość jasno.

Następny dokument: protokół oględzin zwłok. Mężczyzna miał na sobie szarą jesionkę w jodełkę, podniszczoną ale z pierwszorzędnego angielskiego materiału. Szyta była na miarę u krawca, jak wskazywała metka u modnego i drogiego krawca. Miał kapelusz również angielski. Gdzie go znaleziono —

bo chyba nie na głowie? — i w jakim stanie, protokół nie wyjaśniał. Na sobie denat miał marynarkę jednorzędową z szarek wysoko gatunkowej flaneli szytą na miarę oraz nieco jaśniejsze spodnie. Koszula popelinowa produkcji „Wólczanki”, sweter zniszczony, krawat, ciepłe kałesony. Na nogach dwie pary skarpetek oraz dodatkowo trzecia skarpetka na lewej nodze.

Czarne półbuty produkcji zakładów w Chełmku. W kieszeniach znaleziono dwie chusteczki do nosa, 75 groszy bilonem oraz okulary bez oprawki. Nie znaleziono natomiast ani dokumentów, ani portfelu, ani notesu. Wprawdzie za podszewką jesionki znalazły się dwa bilety autobusowe, ale nie załączono ich do akt. Może to były bardzo stare bilety, które znajdowały się tam od miesięcy lub lat? Nie było biletów kolejowych. Uwagę moją zwróciło, że denat nie posiadał rękawiczek. Dzień był dość mroźny, temperatura wahała się od minus 7 do minus 11

stopni i wydawało się nieprawdopodobne, aby starszy mężczyzna, dbający najwyraźniej o ciepło, o czym świadczyły dwie pary skarpet, zapomniał o rękawiczkach. Nie było także szalika.

Ubranie denata jakby nosiło ślady jakiejś walki. Lewa kłapa jesionki była naderwana, lewy rękaw przebit w okolicy łokcia ostrym narzędziem. Te ślady występowały na jesionce, w protokole nie

zaznaczono, w jakim stanie była marynarka. Jeśli rękaw jesionki był przebity — to marynarki powinien być również. Niestety, protokół pomijał tę sprawę milczeniem.

Uwagę moją zwróciło, że na lewej nogawce spodni, w okolicy kolana, stwierdzono plamy krwi. Protokół sekcji zwłok, jedyny rzeczywiście prawidłowo sporządzony dokument, wyjaśniał, że denat nie doznał w tym miejscu żadnych obrażeń. Natomiast lewą rękę poranioną miał bardzo poważnie.

Wniosek można było wyprowadzić łatwo. Nieznajomy musiał czas jakiś znajdować się w pozycji skurczonej, tak że lewa ręka dotykała kolana. Być może przewożono go w tej pozycji samochodem.

Natomiast ślady krwi na chusteczkach do nosa i okularach dowodziły, że denat przykładając chusteczkę do zranionych miejsc ewentualnie, że wkładał zakrwawioną rękę do kieszeni.

Z krwawych plam na spodniach oraz na przedmiotach znajdujących się wewnątrz kieszeni narzucał się jeden tylko wniosek. Obrażenia nieznajomego nie mogły powstać jednorazowo, a w każdym razie pod ich wpływem nie mógł stracić przytomności. Nieprzytomny człowiek nie sięga po chusteczkę, aby obetrzeć krew, nie wkłada rąk do kieszeni, nie kuca opierając nadgarstka o kolano. Było dla mnie jasne, że nieznajomy został najpierw pobity, a dopiero później zadano mu ciosy, które spowodowały śmierć.

Żałowałem, że nie prowadziłem tej sprawy wtedy, gdy znaleziono nieznajomego, a więc siedem lat temu. Wówczas na wiele pytań znalazłbym absolutnie pewną odpowiedź. Teraz mogłem tylko domyślać się luki w protokołach uzupełniając własną wyobraźnią.

Odsunąłem akta na bok. Wstępna hipoteza przebiegu morderstwa rysowała się całkiem wyraźnie. Nieznajomy musiał wcześniej rano spożyć jakiś posiłek, a później nie miał już możliwości coś zjeść. Został zapewne uprowadzony i ze względu na okoliczności, a zwłaszcza na silne podekscytowanie, przez wiele godzin nie odczuwał większej potrzeby dokonania prostych czynności fizjologicznych, co stwierdziła sekcja zwłok. Przez co najmniej kilka godzin znajdował się w towarzystwie sprawcy bądź sprawców morderstwa. Przez cały ten czas był silnie zdenerwowany. Być może domyślał się, co mu grozi. Poddano go turturom fizycznym. Następnie nieszczęśnikowi dano spokój, tak że mógł obetrzeć krew. Później przewożono go gdzieś samochodem w pozycji skurczonej. Najpewniej przewieziono go w miejsce znalezienia zwłok i tutaj, jakimś ciężkim narzędziem, zadano rany głowy, które okazały się tragiczne w skutkach. Zapewne samochód znajdował się na drodze przebiegającej w pobliżu miejsca znalezienia ofiary. Od szosy musiano go ciągnąć za nogi, twarzą do ziemi. To sugerowało, że sprawca był jeden. Gdyby było ich dwóch, denata raczej przenieśli, aby nie pozostawiać śla - dów na śniegu.

Zbrodniarz bowiem nie mógł liczyć, że miejsce znalezienia ofiary zostanie doszczętnie zdeptane przez pasażerów.

Chyba... A jeśli sprawca jechał tym właśnie pociągiem 2116? W

aktach nie było wyjaśnione, kto pierwszy zobaczył ciało i kto zatrzymał pociąg. Zastanawiało, że ani maszynista, ani jego pomocnik, którzy z obowiązku nieprzerwanie obserwują dobrze oświetlony reflektorami szlak kolejowy i jego pobocze — nie dostrzegli nic. Podobnie jak obsługa i pasażerowie poprzednich pociągów...

Mnie obecnie zastanawiało co innego dlaczego umorzono sprawę, stwierdzając iż to było samobójstwo? Znów sięgnąłem po akta, aby znaleźć wyjaśnienie tej zagadki.

IV

Dziewczyna, która 4 lutego 1963 r. zgłosiła się na komendę dzielnicową MO. na Mokotowie, była przystojna i elegancko ubrana.

Dyżurny sierżant, który ją przyjął, stwierdził, że jest silnie zdenerwowana.

— Mój wujek, Bartłomiej Władysław Miś, wyszedł przed dwoma dniami z domu i dotychczas nie

powrócił. Pragnę zgłosić jego zniknięcie. Oto rysopis: wysoki, siwy, ubrany w szarą jesionkę... dowód osobisty i laskę pozostawił w domu.

Trwało nie dłużej niż kwadrans, gdy ustalono, że komenda wojewódzka MO prowadzi sprawę nagłej śmierci mężczyzny, odpowiadającemu podanemu rysopisowi. Milicyjnym radiowozem przewieziono dziewczynę — nazywała się Bożena Małaszewicz — na Sierakowskiego. Tam czekał na nią oficer służby kryminalnej komendy wojewódzkiej. Bliższe szczegóły podane przez Małaszewiczową potwierdzały, że znaleziony przy torze mężczyzna był Bartłomiejem Władysławem Misiem. Oficer zabrał

młodą kobietę do kostnicy. Rozpoznała ciało wuja. Zachowała się stosunkowo spokojnie.

Miś mieszkał z rodziną przy ulicy Koneckiej na Mokotowie.

Ekipa śledcza udała się tam natychmiast. Ostatnie, znane rodzinie godziny życia zmarłego, zaczęły rysować się nadzwyczaj wyraźnie.

W niedzielę, 31 stycznia, Miś, który liczył już 69 lat, czuł

się bardzo źle. Mimo iż prowadził bardzo systematyczny tryb życia, tym razem zmienił ustalony od lat porządek. Zazwyczaj chodził w niedzielę do kościoła, a raczej kaplicy św. Andrzeja Boboli, przy ulicy Wołoskiej, tego dnia jednak leżał w łóżku aż do obiadu i na nabożeństwo poszedł dopiero o 19.00. Nie było go dość długo, bo ponad godzinę. Mimo złego stanu zdrowia był raczej wesoły. Wkrótce po powrocie z kościoła poszedł

spać.

W poniedziałek Miś miał jechać do znajomej na Saską Kępe, ale ponieważ czuł się nadal źle, zrezygnował. Wstał z łóżka dopiero przed samym obiadem. Poczul się lepiej i po obiedzie wyszedł na miasto kupić kilka drobiazgów.

W mieszkaniu przy ulicy Koneckiej Miś mieszkał wraz z rodziną od ponad roku. Poprzednio miał własną kawalerkę przy ulicy Dobrej, ale nie przeniósł się do mieszkania zajmowanego przez siostrę z mężem — Janinę i Stefana Kałużyń-

skich, ich rozwiedzioną córkę Bożenę Małaszewicz oraz małą wnuczkę. Mieszkanie składało się z trzech pokoi i jeden z nich zajmował Miś.

Córeczka Małaszewiczowej właśnie chorowała i gdy w poniedziałek, 1 lutego, Miś wyszedł na miasto, wstąpił do apteki, aby kupić lekarstwo. Ponadto kupował jeszcze gazety i pieczywo. Wrócił po godzinie. Poszedł do swego pokoju i czytał

prasę. Czytanie to kontynuował jeszcze po kolacji. Dochodziła 20.30, gdy zgasił światło i poszedł spać. W ciągu następnej godziny spać poszli pozostali członkowie rodziny. Tylko w pokoju, w którym znajdowała się chora córeczka, paliła się niewielka lampka nocna. Postawiono ją na podłodze za wózekkiem dziecka i przykryto jeszcze gazetą, aby nie razić światłem chorej dziewczynki. Poza tym w mieszkaniu było ciemno...

Płynęły godziny. Zza okien, z ośnieżonej ulicy Koneckiej, nie dobiegał żaden dźwięk. W mieszkaniu było bardzo cicho.

Lekko rysował się w ciemnościach prostokąt okien; księżycowa noc była jasna. Monotonnie stukał ścienny zegar.

W pewnej chwili Małaszewiczową coś zbudziło. Sama nie wiedziała co. Było cicho. Bożena wstała, przeszła do pokoju, w którym spało dziecko. Mała Alinka oddychała spokojnie.

Niepokój, który zbudził młodą kobietę, minął, gdy Bożena przekonała się, że z dzieckiem jest wszyst-ko w porządku.

Wracając do swojego pokoju zauważyła, że przez szparę nad progiem od drzwi pokoju Misia widać światło. Nie zdziwiło jej to; widocznie wujek obudził się i czytał książkę. Bożena poszła

spać.

Znów minęło nieco czasu. Ulicą przejechał samochód.

Monotonnie cykał zegar. Okna słabo wyróżniały się na tle ścian, bo księżyc zaszedł i chyba zaczął prószyc śnieg.

Było już dobrze po północy, gdy coś nieuchwytnego obudziło z kolei Stefana Kałużyńskiego. Przez otwarte na korytarz drzwi dojrzał smugę światła z pokoju Misia. Chwilę nadśluchiwał.

Była cisza. Niepokój minął, Kałużyński zasnął, nie wiedząc kiedy.

W mieszkaniu nadal panowała *» cisza. Godzinę, może dwie.

Nagle rozległ się jakiś cichy skrzyp, który znowu obudził

Kałużyńskiego. Przestraszył się, że może z wnuczką jest gorzej. Wstał z łóżka. Było bardzo cicho.

W pewnej chwili mąż-

czyźnie wydało się, że w kącie pokoju ktoś stoi. Wzruszył

ramionami i o mało nie roześmiał się głośno. To ulubiony fi-lodendron żony, który w ciemnościach nocy przybrał niemal ludzkie kształty. Kałużyński po cichu przeszedł do pokoju wnuczki. Lampa była zgaszona. Mężczyzna pomyślał, że uczyniła to chyba Bożena, zapewne wstawiała do córki. Nacisnął guzik kontaktu, ale lampa nie chciała się zapalić. Kałużyński nachylił się tylko nad wnuczką, stwierdził, że oddycha spokojnie i wyszedł z pokoju. Był już w progu korytarza, gdy zobaczył jakiś wysoki cień. Stanął gwałtownie, nieuzasadniony niepokój schwycił go za gardło:

— Kto tam? — powiedział zduszonym głosem.

Cień poruszył się.

— To ja, Władek — usłyszał głos. Miś stał w pizamie u drzwi łazienki, jakby dopiero co stamtąd wyszedł. — Która godzina?

zapytał.

Kałużyński miał na ręku zegarek. Spojrzał na tarczę.

— Kwadrans po trzeciej — powiedział.

— To jeszcze wcześniej — odparł Miś i wrócił do swego pokoju.

Kałużyński również położył się spać.

Powoli zbliżał się świt. Ulicą przejechała jakaś ciężarówka.

Jej łoskot obudził Kałużyńskiego. Sprawdził godzinę, zbliżała się szósta. Mężczyzna wstał, poszedł do kuchni, aby przygotować coś do picia dla wnuczki. W pokoju Misia było ciemno, ale Kałużyński otworzył drzwi i zajrzał do środka.

Zobaczył, że szwagier leży na łóżku i śpi. Cicho zamknął

drzwi, przygotował w kuchni lekką herbatkę dla wnuczki i nie budząc dziecka wlał jej do gardła kilka łyżeczek wraz z paroma kroplami lekarstwa. Potem poszedł spać.

Na ulicy powoli zaczynał się ruch. Przejechały dwa pługi MPO, robotnicy krzyczeli coś do siebie. Słychać było stukot blaszanych konwi z mlekiem, przywiezionych do sklepiku spożywczego na rogu. Na klatce schodowej raz po raz trzaskały drzwi: lokatorzy wychodzili do pracy.

W mieszkaniu Kałużyńskich pierwsza obudziła się Bożena.

Zajrzała do dziecka, wszystko było w porządku. Postanowiła zagotować mleko. Mleczarz dostarczał je każdego ranka pod drzwi. Małaszewiczowa przekreśliła klucz w zamku. Klucz nie chciał się jednak obrócić. Ze zdumieniem dziewczyna zauważyła, że drzwi są otwarte. A przecież na jej oczach poprzedniego dnia wieczorem ojciec osobiście — jak co wieczór — zamykał dom na dwa spusty. Teraz drzwi były zamknięte tylko na samozatraskującą zasuwę typu yale. Bożena otworzyła ją wzięta mleko, lecz wracając do kuchni zatrzymała się. Przez uchylone drzwi widziała, że rodzice jeszcze śpią. Drzwi do pokoju Misia

były zamknięte.

Tknięta jakimś niepokojem weszła do pokoju wujka. Było już widno. Przez poręcz krzesła, starannie złożona, leżała piżama.

Obok tapczanu zobaczyła niewielką stertę książek. Łóżko było puste.

Miś zniknął. Zaszokowana Bożena dostrzegła dopiero teraz, że zwykle zarzucony różnymi papierami stół jest niemal całkowicie pusty. Tylko pośrodku leżała koperta. Zaadresowano ją jednym słowem: Najdrożsi. Dziewczyna otworzyła kopertę. Wyrwana z zeszytu kartka zapisana była nieczytelnymi słowami, najwyraźniej pisanymi przez Misia. Ma-

łaszewiczowa rozejrzała się po pokoju i dopiero teraz dostrzegła, że na stercie książek leży jeszcze jedna kartka. I ją pisał Miś, tym razem bardzo wyraźnie. Kraków antykwariat naukowy ma przysłać przeszło 450 zł za książki tam pozostawione. Trzeba wysłać książki do Krakowa, leżą na ziemi.

Majewskiemu jestem winien za książki sześć tomów o wczesnym renesansie. Książki leżące pod oknem to własność p.

Wojciechowskiej, trzeba jej oddać... — i dalej podobne polecenia.

Nie wiedząc, co robić, Bożena obudziła rodziców. Wspólnie starali się odczytać list pozostawiony przez Misia. Nie dało się to uczynić w całości — nawet później, w Zakładzie Kryminalistyki KW MO, Odcyfrowano tylko następujące słowa: Najdrożsi moi. Pomi... tak przekonywających dowodów jestem... ona najmilsza jedna splamion nie jestem... nie winien. Całuję Was wszystkich i żegnam. Przepraszam najmocniej, że Wam zrobiłem tę niespodziankę... tak w strasznych chwil...

i... alt... w dam wam... trudny jest... jak... ostatni. Całuję Was — Władek. Umierać w takich warunkach i pod takim podejrzeniem... Jak Wy to przeżyjecie takim... Niech Wam pozwol...

O Kochani i biedni, niech iwas Bóg pocieszy. Mnie się... i szaleję. Tak mała, tali łajdacka, że zaw... i... to że perfidia... perfidia, gdzie... za co i komu... a czym wy...

ałem Was za cóż... tylko m.nie przykro, że Was tak dr...

czyłem. Och, Boże, Boże, nie karz ich za to ł... ani.

— Nic nie rozumiem. Co to znaczy? — powtarzał Kałużyński.

Jego żona zaczęła głośno płakać. — Nie rozumiesz? —

powiedziała przez szloch. — Władek poszedł popełnić samobójstwo!

Odsunąłem od siebie akta i zapaliłem papierosa. Tego się nie spodziewałem, sprawa skomplikowała się znacznie. Teraz rozumiałem, dlaczego prokurator umorzył sprawę, uznając że to było samobójstwo. Wszystkie okoliczności za tym świadczyły.

Tylko protokół sekcji wykluczał możliwość samobójstwa. Ale przecież lekarze też się mogą mylić. Ja jednak wiedziałem, że to nie było samobójstwo. Znałem nawet nazwisko mordercy. To jednak za mało dla sądu. Trzeba najpierw ustalić dokładnie, jak wszystko się rozegrało. W jaki sposób doszło do tego, że Miś, który o szóstej rano spał spokojnie w/ swoim łóżku w mieszkaniu prz'-1 ulicy Koneckiej w Warszawie — o godzinie 9

wieczorem w stanie agonii znaleziony został obok torów kolejowych, 30 km za miastem. I te osiemnaście powierzchownych ran ciętych na wewnętrznej stronie lewego nadgarstka...

Przeszedłem do sąsiedniego pokoju, gdzie pracował mój pomocnik i przyjaciel, kapitan Jerzy Majski.

— Słuchaj, mamy nową sprawę — powiedziałem. Historia nie taka znowu zwyczajna. Wyobraź sobie, że jeszcze osiem lat temu żył w Warszawie pewien starszy mężczyzna. Był przesądny. Jego matka i ukochana siostra umarły we wtorek. Od tego dnia ów mężczyzna nie robił we wtorek nic ważnego. Uznał go za dzień feralny. Mówił często znajomym, że on też umrze we wtorek. I rzeczywiście umarł.

— We wtorek? — zapytał Jerzy.

— Tak, we wtorek. Najpierw tajemniczo zaginał, a później go zamordowano — wyjaśniłem. — I jak tu nie wierzyć w przesady?

Jerzy pokręcił niedowierzająco głową.

— Coś zalewasz, stary.

— Nie wierzysz? Przekonaj się sam.

Wzięłem go za rękę i zaprowadziłem do swojego pokoju. Przez chwilę kartkowałem akta.

— Czytaj tutaj — powiedziałem. — Zeznania świadka Kałużyńskiego. Proszę, mówi o tym feralnym dniu. A teraz dalej, karta 236. Zeznania świadka Końskiego. To samo. Inni zeznają identycznie: Wtorek był uważany przez Misia za feralny dzień, był przekonany, że umrze we wtorek.

Jerzego sprawa zaintrygowała.

— Pułkownik dał ją nam do roboty? — zapytał. — Ale to stare akta. Wyszło coś nowego?

— Po prostu znalazł się morderca — wyjaśniłem.

— Tylko tyle? — z powątpiewaniem w głosie powiedział Jerzy.

— Jeśli już znalazł się morderca, to jestem przekonany, że czeka nas niewąska robota. Ale może mi powiesz chociaż, o co chodzi i kim był ten zamordowany?

W paru słowach wyjaśniłem okoliczności znalezienia Misia i jego zaginięcie z domu. Później przeszedłem do omówienia sylwetki ofiary.

— Ten Miś to przedwojenny oficer. Jeszcze przed wojną przenieśli go na emeryturę. Podczas okupacji był związany luźno z jakąś organizacją podziemną. Nie lubił mówić na ten temat, tak v.c. ón okres jego biografii nie był znany nikomu.

— To warto by sprawdzić. Może w tej okupacyjnej przeszłości znajdziemy motyw morderstwa? Inna rzecz, że jeśli już wiesz, kim jest, znasz chyba motyw.

Pokręciłem przecząco głową. — To nie takie proste. Nie mogę wykluczyć, że ten, kto zabił, działał na cudze zlecenie. W tym wypadku nawet morderca nie znał motywów.

— Uszczęśliwiasz mnie — z przekąsem powiedział Jerzy. —

Ciebie to zdaje się cieszy, że czeka nas niewąska robota.

Jeśli to taka zagmatwana sprawa, czeka nas harówka nie z tej ziemi. Ty wiesz na pewno, kto zabił?

— Jestem przekonany, że tak.

Jerzy smętnie pokiwał głową. — Ty cholerny optymisto —

powiedział. — Zobaczysz, potem się okaże, że zabił kto inny.

To śledztwo już raz umorzono. Aby nie umorzono go po raz drugi. Ale wróćmy do tego Misia. Był pułkownikiem na emeryturze. I co z tego?

— Chyba nic. Słuchaj dalej. Miś był przed wojną facetem zamożnym. Pasjonował się malarstwem. To znaczy nie malował, ale zbierał obrazy, rysunki, sztychy, sam wiesz co. Taki kolekcjoner. Po wojnie robił to samo. Do jego pasji należała numizmatyka, zbieranie starych monet, kolekcjonowanie

dziel

sztuki. Wyszukiwał po całym kraju różne interesujące go eksponaty. Wpadł nawet na pomysł. Związał się z jakąś prowincjonalną gazetą i prowadził tam stałą rubrykę „Skarby na strychu”. Polegało to na tym, że w tej rubryce Miś odpowiadał

na listy czytelników, którzy mieli różne starocie i nie wiedzieli, co to jest i co jest warte. Na przykład ktoś znalazł w domu pękniętą figurkę amorka, opis jej przysyłał do redakcji, a Miś wyjaśniał, że jest to przedwojenna pamiątka odpustowa, nic nie warta. Czasem zdarzało się jednak, że ktoś przysyłał opis przedmiotu, który wydawał się wartościowy. Miś prosił go wówczas o zdjęcie. Zwłaszcza na malarstwie znał się wyśmienicie. Na podstawie zdjęcia mógł dokonać ekspertyzy.

Nieraz zdarzało się, że w ten sposób dowiadywał się, kto posiada naprawdę wartościowy obraz. Stwierdzał wówczas, że to jest, powiedzmy, obraz -ze szkoły monachijskiej z końca XIX wieku, wart najwyżej 300

zł. Potem odczekiwał z pół roku i pod znany już adres wysyłał swojego znajomego, który kupował ten obraz, powiedzmy, za 500 zł. A obraz był wart 3000 zł.

— Słowem, takie polowanie na naiwnych przy pomocy socjalistycznych środków masowego przekazu — zażartował Jerzy.

— Właśnie — uśmiechnąłem się. — W ten sposób Miś mógł stosunkowo niedrogo wzbogacić swoją kolekcję. Ostatecznie, nie była ona tak wielka...

— Ja myślę — powiedział Jerzy. — Jak tak już wszystko wiesz, wyjaśnij z łaski swojej, skąd on na to brał pieniądze.

— Po prostu handlował. Tylko nieliczne eksponaty pozostawiał dla siebie. Inne sprzedawał z niezłym zarobkiem. Podczas rewizji po śmierci Misia w jego mieszkaniu zakwestionowano trochę tej korespondencji handlowej. O, chociażby ten od znajomego Misia, wybitnego kolekcjonera Kazimierza Pomian-Zakrzewskiego z Waśniewic. Czytaj: Otrzymałem od pana trzy obrazki. Ceny kolejno 80, za drugi 70, za trzeci 100

akceptuję. Z innego listu wynika, że chodziło o bardzo poszukiwane na rynku obrazy Rodakowskiego.

— Już idę wierzyć, że obraz Rodakowskiego można kupić u nas za 70 zł. Myślisz, że oni rozliczali się w dolarach?

Pokręciłem przecząco głową. — Nie. Pamiętaj, że wśród nabywców byli ludzie, którzy w żadnym wypadku nie chcieli

naruszyć obowiązujących przepisów i dlatego nie poszliby na transakcje dolarowe. Myślę, że w tych cenach brak tylko pewnych ilości zer od tyłu. Zresztą inne listy wyjaśniają nieco sprawę. Tę kartkę też zakwestionowano podczas rewizji.

Jeden z kontrahentów Misia, handlarz obrazów, niejaki Koński, pisze do niego, że stara się sprzedać otrzymane w komis pięć szkiców Rodakowskiego i dwa obrazy Kossaka. Podaje ich ceny: szkice po 800 zł sztuka, obrazy po 850 zł. Ale czytaj dalej: Ceny, jakie Sz. Pan podał przestraszają — pisze Koński

—jako nierealne w stosunku do możliwości finansowych prywatnego człowieka, a nawet instytucji państwowej... 800 zł

przekracza możliwości instytucji państwowych? Wolne żarty.

Inna rzecz, że nie przypuszczam, aby akwarele Kossaka mogły być aż tak drogie, jak to wynika z listu Końskiego. Raczej sędzę, że pod określeniem — Kossak — kryły się dla obu kontrahentów

obrazy innego pędzla, o wiele bardziej cennego.

Jerzy zainteresował się.

— Czy są jakieś dane, że przez ręce Misia przeszedł obraz szczególnie wysokiej wartości.

Pokiwałem głową. — Są takie dane. O, patrz, tutaj na karcie 318. To jest protokół rewizji. Czytaj: W lewej górnej szufladzie biurka znaleziono... kartkę o treści następującej: „Obraz Michała Anioła nabyłem wspólnie ze Sztosem za 15 tys. zł.” Niestety, kartki tej nie zakwestionowano podczas rewizji i ta informacja musi nam wystarczyć.

Jerzy zatarł dłonie. — Obraz Michała Anioła? Człowieku, ty żartujesz. To przecież majątek! Niewiele muzeów na świecie może się poszczycić takim nabytkiem.

I on to kupił za 15 tysięcy zł?

— Ściśle mówiąc, zanotował, że za tyle kupił. W aktach jest zresztą więcej na ów temat. Prawdę mówiąc, nie był to obraz, a szkic na pergaminie, przedstawiający Madonnę z Dzieciątkiem.

Miś chwalił się, że ten obraz posiada, ale niewiele osób, go widziało. Mówił, że na Zachodzie obraz taki kosztowałby co najmniej 5 tysięcy dolarów.

— I co się z tym Michałem Aniołem stało? — zapytał Jerzy.

—Zaginął.

— Aha — Jerzy gwizdnął przeciągle. — Więc o to chodziło, mam rację?

Pominałem to pytanie milczeniem. — Obraz był w każdym razie sporo wart.

Jerzy znów kreślił esy floresy. — Kupili go razem ze Sztosem. Kto to zaczął ten Sztoś i jak przyjął fakt zaginięcia obrazu?

— Beniamin Sztoś zmarł dwa lata wcześniej — wyjaśniłem. —

Sprawdzono, to była śmierć naturalna. Nie można mieć żadnych podejrzeń. Zapewne przed śmiercią Miś wypłacił mu jego udział

w tym obrazie. W każdym razie wdowa nie wносиła żadnych pretensji. Po śmierci męża utrzymywała kontakt z Misiem. W

aktach jest jakaś korespondencja między nimi, Sztośowie mieszkali w Łodzi. Są tu listy, że Sztośowa dostarczała Misiowi jakieś obrazy bez ram, potem nie bardzo mogli uzgodnić cenę, czym to się skończyło, nie wiadomo, bo w korespondencji sprawa się urywa. Po śmierci Misia Sztośowa była przesłuchiwana, ale nie powiedziała nic ciekawego. Niestety, o sprawę tej transakcji nie była pytana. Nawet nie wiemy, o jakie obrazy chodziło.

Jerzy zamyślił się głęboko.

— Uporządkujmy fakty — powiedział. — Miś był człowiekiem bogatym

i jego znajomi o tym wiedzieli.

— Wręcz odwrotnie — przerwałem. — Wszyscy zeznają zgodnie, że Miś był raczej ubogi. Utrzymywał się z jakiejś niewielkiej emerytury. Tu, gdzieś w aktach, jest notatka ustalająca wysokość jego zarobków. Wyliczono tam, że handel obrazami, numizmatami, a także starymi książkami przynosił Misiowi około 1000 zł miesięcznie. Ponadto raz na tydzień jeździł do swojej znajomej, niejkiej Rytwiańskiej. Kolekcjonowała ona stare książki, Miś pomagał je wyceniać. Otrzymywał za to 70 zł od każdej wizyty, a więc 280 zł miesięcznie. Ze swoich zarobków 500 zł miesięcznie płacił siostrze za utrzymanie. Reszta pozostawała dla

niego. Obracał to na ogół na swoje obrazy-

— Na podstawie czego oni wyliczyli te jego zarobki? — nie dawał za wygraną Jerzy. — Na podstawie tej korespondencji, którą zakwestionowano podczas rewizji? Ustaliliśmy już, że podawane były tam ceny zaniżone. To znaczy, że jego zarobki były znacznie wyższe.

— Chyba masz rację — zgodziłem się. — Ponad wszelką wątpliwość ustalono jednak, że w

środoisku Miś uchodził za ubogiego. Jeśli nawet sprzedawał jakieś wartościowe obrazy, wszyscy uważali, że otrzymywał je w komis. Sam Miś skarżył się na brak pieniędzy. A że miał obraz Michała Anioła? Można mieć jeszcze cenniejsze dzieła sztuki i przymierać głodem, jeśli nie chce się ich sprzedać. A Miś mówił, że swojego Michała Anioła nie sprzedaje za żadną cenę. Zresztą nie chwalił się nim i tylko nieliczni z jego znajomych słyszeli coś o tym obrazie, a widział go mało kto. Ponadto nawet ci, którym Miś mówił, że ma taki skarb w domu, nie bardzo w to wierzyli. Przymierzali raczej, że to falsyfikat, jakaś kopia z XIX lub XX wieku.

— Ekspertyza nic nie mogła stwierdzić, ponieważ obraz zaginął — pokiwał głową Jerzy. — A może to rzeczywiście był falsyfikat?

— Zasięgano opinii eksperta. Na podstawie opisu tych osób, które obraz widziały, wyraził zdanie, że najprawdopodobniej był to falsyfikat. Zastrzegł się, że aby powiedzieć coś stanowczo, musi zobaczyć chociażby fotografię tego rzekomego Michała Anioła.

Jerzy w zadumie bębnił palcami po stole.

— Gdybyśmy mieli fotografię tego obrazu, bardzo by to ułatwiło sprawę...

— Fotografia jest nam niepotrzebna — wyjaśniłem sucho. — Ja wiem, gdzie jest sam obraz!

VI

Do tej operacji przygotowaliśmy się starannie. Potrzebny nam był ktoś, kto wyglądałby na handlarza obrazów. Do tej roli znakomicie nadawał się porucznik Waldek Tchorzewski. Był to łebski chłopak i do roli handlarza antykami pasował jak ulał.

Tęgi, o okrągłej rumianej twarzy, ubrany zawsze elegancko, jakby świeżo wyszedł od krawca, prasowaczki, manikiurzystki, fryzjera i pucy-buta. Miał tylko jedną wadę. Jakał się. Ale nie zawsze.

Pisałem już na początku, że od pewnego handlarza dowiedziałem się, że inny handlarz, niezbyt szanowany zresztą w tej branży, Krzysztof Gar, oferuje do sprzedaży szkic na pergaminie Michała Anioła, przedstawiający Madonnę z Dzieciątkiem. Handlarz, który mnie o tym poinformował, dodał, że obraz ten był poprzednio własnością Misia. Stąd w ogóle zainteresowałem się całą sprawą. Z akt wynikało, że Miś i Gar znali się, przeprowadzili nie jedną transakcję, a w ostatnim okresie, przed śmiercią starego kolekcjonera, kontaktowali się bardzo często.

Było jednak parę znaków zapytania. Czy posiadany przez Gara obraz był rzeczywiście własnością Misia? I jaką drogą Gar go zdobył? Mogła to być droga legalna, ale ja osobiście w to nie wierzyłem.

Przede wszystkim, nie budząc podejrzeń Gara, trzeba było sprawdzić, czy posiada on rzeczywiście obraz, o który nam chodziło. To zadanie wykonać miał Waldek Tchorzewski.

Ustaliliśmy bez trudu, że Gar żąda za obraz 300 tysięcy złotych. Za pośrednictwem osób trzecich Waldek nawiązał z nim kontakt jako kandydat na nabywcę. Tą drogą ustalono też spotkanie obu panów. Gar miał przynieść rzekomego Michała Anioła, Waldek 300

tysięcy. Miejsce spotkania ustalono na gruncie neutralnym, ponieważ żaden z kontrahentów nie spieszył się z ujawnieniem swego adresu. Postanowiono więc, że spotkanie nastąpi w „Grand Hotelu” w Sopocie. W połowie września, przy odrobinie szczęścia, można tam dostać pokój. Waldek zamówił go telegraficznie, okazało się, że może tylko otrzymać apartament na parterze. Tchorzewski był z tego zadowolony. Za służbowe pieniądze mógł spędzić dobę niby jaki badylarz czy producent szczoteczek z plastyku.

Trochę kłopotu było z forszą. 300 tysięcy służbowych pieniędzy na pokaz nie jest otrzymać łatwo. Waldek przysięgał, że nie zgubi. Podpułkownik z Komendy Głównej, który załatwiał

wypożyczenie tej góry banknotów, domagał się stanowczo, aby Tchorzewskiego cały czas konwojowało dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy. Łaskawie zgodził się, aby byli oni w cywilu.

Zarty na bok. Ostatecznie w trójkę zagwarantowaliśmy własnymi pensjami, że pieniądzom nic się nie stanie. Musieliśmy tylko spisać wszystkie numery banknotów. Waldek miał elegancką teczkę w formie niewielkiej prostokątnej walizeczki.

300 banknotów tysiąc złotych mieściło się tam bez trudu.

Opatrzony naszymi błogosławieństwami Waldek wyjechał pośpieszonym z Dworca Wschodniego. Jechał drugą klasą, bo pierwszej by mu w firmie nie rozliczyli. W „Grandzie” apartament czekał. Tchorzewski zainstalował się tam i zaczął oczekiwać kontrahenta.

Następnego dnia o godzinie 19.00, punktualnie o umówionej porze, w apartamencie zadzwonił telefon. Nieco podekscytowany męski głos stwierdził:

— Ja w sprawie obrazka. Czy można pana odwiedzić?

— Oczekuję pana z niecierpliwością — godnie odparł Waldek.

Kwadrans później zastukano do drzwi. Wszedł młody człowiek o długich włosach, bokobrodach, ubrany w jasne spodnie, dwurzędową granatową marynarkę ze złotymi guzikami i welwetowe buty. Twarz miała mysi, nieprzyjemny wyraz. W ręku trzymał niewielką płaską teczkę.

Obaj panowie przywitani się, nie wymieniając nazwisk.

Przybysz przeszedł od razu do sprawy.

— Ja przywiozłem — powiedział. — A pan?

Waldek kiwnął głową i bez słowa otworzył swoją teczkę. Przez twarz Gara przebiegł lekki skurcz z wrażenia.

— Jestem przygotowany do transakcji. Oczywiście, najpierw muszę upewnić się co do autentyczności obrazu.

— To jest zupełnie zrozumiałe, proszę szanownego pana —

skłonił się Gar. — Nie jest wcale konieczne, abyśmy transakcji dokonali dzisiejszego dnia. Jeśli ośmieliłem się prosić, aby przybył pan na spotkanie z pieniędzmi, to jedynie i wyłącznie z tej racji, że chciałem mieć pewność, że mam do czynienia z poważnym reflektantem. Teraz widzę, że podchodzi pan do transakcji poważnie, co mnie szczególnie cieszy.

Tchorzewski skłonił się gościowi. — Mnie również — powiedział.

— Jeśli tak, to pozwolę sobie pokazać szanownemu panu ten prawdziwy skarb, który kryje ta skromna teczka. Dyrektor Lorentz, ba — sam minister Motyka byłiby szczęśliwi, gdyby to dzieło mogli włączyć do państwowych skarbów.

— Urządzam sobie właśnie skromny domek pod miastem i trzeba coś powiesić na ścianach, no nie? — Waldek postanowił stwarzać pozory, że jest bogatym przedstawicielem prywatnej inicjatywy.

Gar zbyt dobrze znał środowisko handlarzy dziełami sztuki, aby można było mu wmówić, że Tchorzewski zajmuje się zawodowo antykami.

Przybysz podszedł do stolika, wyciągnął nienagannej czystości chusteczkę i wytarł starannie i tak czysty blat. Następnie wyjął z te czki kilka arkuszy czystego kancelaryjnego papieru i rozłożył równo na stoliku. Potem dopiero wydobył

plastykową teczkę. W niej między dwoma sztywnymi tekturami znajdował się sporządzony na pergaminie szkic. Gar położył go na środku stolika, cofnął się o trzy kroki do tyłu, rozłożył ręce i z nabożeństwem spojrział na obraz.

— Oto właśnie to! — wykrzyknął z emfazą. — Dzieło Michała Anioła! Wspaniałe!

Tchorzewski przyjrzał się obrazowi. Z zawodem skonstatował, że nie widzi w nim nic, co wzbudziłoby jego zachwyt. Owszem, Madonna była narysowana zupełnie nieźle, ale już Dzieciątko budziło zastrzeżenia porucznika. Widocznie ze mnie żłob, który nie zna się na sztuce — pomyślał.

Na głos nie zdradził się jednak ze swymi myślami. Przez dłuższą chwilę udawał, że bada szczegóły obrazu.

— To wspaniałe dzieło jest godne, aby znaleźć się na centralnym miejscu każdej galerii świata — zachwalał Gar. —

Osobiście nigdy bym się z tym Michałem Aniołem nie- rozstał, gdyby nie konieczność życiowa. Poza wszystkim innym, musi pan wiedzieć, że to moja najdroższa pamiątka rodzinna. Niestety, muszę ją sprzedać za te marne 300 tysięcy...

Tchorzewski podtrzymywał rozmowę, ciekawy, jaką legendę stworzył handlarz co do pochodzenia obrazu.

— Pan posiada ten cenny obraz po rodzicach? — zapytał.

— Szanowny pan raczy żartować — obruszył się Gar. — Ten obraz jest w mojej rodzinie od czterystu lat. Mój pra-pradziad, którego król Jan Sobieski miał no wał hrabią, był bardzo majątnym człowiekiem. Miał ogromne dobra ziemskie, a ponadto posiadał w Łodzi sześć dochodowych kamienic i skład narzędzi rolniczych oraz cementu. Król Sobieski wysłał go kiedyś na placówkę dyplomatyczną do Rzymu, do króla włoskiego. Wtedy mój pradziad otrzymał w prezencie od księżniczki Neapolu to właśnie dzieło. Majątek rozparcelowali z reformy rolnej, kamienice upaństwowili i mnie pozostał

jedynie ten obraz...

Waldek zachowywał się tak, jakby był przejęty opowieścią swego gościa. — To naprawdę bardzo interesująca historia —

powiedział.

— Więc dokonujemy transakcji? — W głosie Gara czuć było z trudem tajoną niecierpliwość.

Tchorzewski w zamyśleniu tarł brodę dłonią. — Powiem panu szczerze jak Polak Polakowi. Na obrazach to ja się nie znam.

Potrzebuję takiego drogiego obrazu. I stać mnie na niego, a w razie czego lokata kapitału dobra. Sam pan wie, jak to jest.

Jeszcze mnie wydział finansowy czy IKR przycisną. Oni nie liczą się z niczym. Jakby przyszła na mnie bieda, za ostatnie pieniądze wykupię orbisowską wycieczkę do Paryża, wezmę obraz pod pachę i żegnaj, ludowa ojczyzno! Na Zachodzie będzie od czego zacząć interes.

Gar kiwał potakująco głową.

— Bardzo to pan inteligentnie wykony- cypował. Od razu widać, że z otwartą głową mam do czynienia! Więc dobijamy transakcji?

Waldek przyglądał się uważnie obrazowi.

— Widzi pan, ja robię w plastyku. Jakby to była jakaś zgrzewarka albo partia surowca, to nie ma dla mnie mądrych.

Ale na tym się nie znam. Pan żądał, żebym przywiózł pieniądze na dowód, że jestem poważnym kontrahentem. Proszę nie mieć mi za złe, ale w

sprawie obrazu muszę poradzić się fachowców. Zrobimy tak: sfotografuję ten obraz i za jakiś tydzień dam panu ostateczną odpowiedź.

Gar nie sprawiał wrażenia zadowolonego, ale nadrabiał miną.

— Oczywiście, proszę pana, pański dezyderat jest ewidentnie naturalny i oczywiście

usprawiedliwiony. Ekspert potwierdzą tylko iunctio pomiędzy moimi słowami a wartością dzieła.

Autentyczność tego Michała Anioła jest poza wszelkimi zastrzeżeniami. Sprawa całkiem niekontrolowana wersyjna.

Tchorzewski wyciągnął aparat fotograficzny. Ustawiono obraz bokiem. Waldek naświetlił całą taśmę, fotografował migawką i na czas, chciał mieć jak najwięcej materiału porównawczego.

Gdy skończył, Gar troskliwie opakował i schował obraz.

— Kiedy pan wyjeżdża z Sopotu? — zapytał.

— Mam na jutro zamówiony samolot. Przenocuję jeszcze tutaj — wyjaśnił Waldek.

— Ja jestem moim BMW — mówił Gar. — Na noc nie chce mi się jechać, opuszczę Sopot jutro rano. Czy nie kolidowałyby z pańskimi planami moja propozycja, aby wieczór spędzić wspólnie? Oczywiście ani mowy o interesach. Taka wyłącznie towarzyska impreza, ewidentnie rozrywkowa.

— We dwójkę? — zastanowił się Tchorzewski.

— Skądże! Co za koncepcja! Znam tutaj na wybrzeżu dwie bezbłędne dziewczyny, które chętnie dotrzymają nam towarzystwa. Proponuję uczynić tak: ja teraz skoczę i odwiozę obraz do mojego locum i za pół godziny będę z obiema paniami.

Spotkamy się tutaj w restauracji. Dobrze?

— Bardzo chętnie — zgodził się Tchorzewski.

Gar wyszedł. Waldek odczekał chwilę i zaniósł walizeczkę z pieniędzmi do hotelowego depozytu.

Wrócił do apartamentu, poprawił włosy, zmienił krawat.

Zastanawiał się nad istotnymi przyczynami zaprosin Gara. Czy chodziło mu tylko o utrzymanie klienta? Nie można było wykluczyć, że ten handlarz był mordercą starego człowieka.

Jeśli już raz zamordował dla obrazu, po raz drugi może się nie cofnąć przed niczym, aby zdobyć 300 tysięcy. Tchorzewski zdjął

marynarkę, założył elastyczne szelki, pod lewą pachą podwiesił

sobie pistolet. Na wszelki wypadek łyknął dwie tabletki aspiryny. Będą na pewno zdrowo pili...

W restauracji grała orkiestra pozbawiona już sezonowego temperamentu. Wrzesień w Sopocie jest pod każdym względem ospały. Przy stoliku, w głębi sali, na jej półkolistym występie przy tarasie, siedział Gar oraz dwie dziewczyny. Gar zdążył przebrać się w smoking wiśniowego koloru. Uniósł się zza stolika, uczynił ruch ręką.

— Bardzo prosimy pana, bardzo prosimy...

Wysoka brunetka uśmiechnęła się i zrobiła do Waldka oko.

VII

Czekałem na powrót Tchorzewskiego z niecierpliwością.

Przywiózł pieniądze w całości i trzydzieści dwie naświetlone klatki obrazu Michała Anioła. Wyrwałem z ręki laborantowi jeszcze wilgotne odbitki. I mnie obraz rozczarował. Spodziewałem się Bóg wie czego, a tymczasem malunek jak to malunek. Kolorowe reprodukcje w Klubie Międzynarodowej Prasy na Nowym Świecie podobały mi się o wiele bardziej.

Podzieliliśmy się robotą. Waldek nadal czuwał nad Garem.

Nasza grupa operacyjna otoczyła handlarza obrazów równie troskliwą co dyskretną opieką a Tchorzewski siedział w swoim pokoju w Pałacu Mostowskich i odbierał kolejne meldunki.

Majskiemu zleciłem, aby przedstawił zdjęcia fotograficzne ekspertom. Zobaczymy, jak im będzie się podobał ten Michał

Anioł. Ja wziąłem na siebie ustalenie, czy obraz posiadany przez Gara jest identyczny z tym, który miał Miś.

Wcześniej jeszcze ustaliliśmy, że siostra i szwagier Misia już nie żyją. Stefan Kałużyński, równolatek Misia, przejął się bardzo jego śmiercią i zmarł jeszcze jesienią 1963 roku.

Kałużyńska umarła w 1968 r. Pozostała z całej rodziny tylko Bożena Małaszewicz z córeczką. Komenda mokotowska ustaliła, że nie wyszła ona ponownie za mąż i pracuje w Modzie Polskiej na Ordynackiej. Wziąłem firmową warszawę i podskoczyłem tam z miejsca. Bożenę odnalazłem bez trudu. Musiała już mieć powyżej trzydziestki, ale nie wyglądała na tyle. Przystojna, efektowna, dobrze i ze smakiem ubrana dziewczyna. Zdziwiłem się, że nie wyszła po raz drugi za mąż.

Małaszewiczowa nie była zaskoczona, gdy się przedstawiłem i wyjawilem powód wizyty.

— Milicja znowu grzebie się w sprawie śmierci wujka? —

powiedziała. — Po co? Przecież stwierdzono, że to było samobójstwo...

— Oczywiście — zgodziłem się grzecznie. — Tylko, widzi pani, są tam niejasne różne szczegóły.

W biurze trudno było rozmawiać, Małaszewiczowa zwolniła się z pracy i pojechaliśmy na Konecką. Z zainteresowaniem obejrzałem miejsce, w którym ostatni rok swego życia spędził

Miś. Przedwojenne mieszkanie średniej wielkości, jak na obecny standard pokoje

duże i wysokie. Dawny pokój Misia był już przemeblowany, stały w nim efektowne czerwone foteliki, podłużny niski stolik, na ścianach wisiały kolorowe reprodukcje: Cezanne, Matisse i Gauguin. Bożena usiłowała mi przedstawić, jak ten pokój wyglądał za życia jej wujka.

— Był bardzo mroczny — mówiła. — Ściany pomalowane na dość ciemny kolor, okno przysłonięte grubą firanką. Tutaj, w kącie, stał stary tapczan wujka. Pośrodku okrągły zniszczony stół, zawsze zarzucony papierami. Papiery poniewierały się zresztą wszędzie. Jeszcze od przedwojny wujek zbierał wycinki prasowe dotyczące różnych interesujących go spraw. Kazał

introligatorowi zrobić duże tekturowe teczki, w których te wycinki przechowywał. Szczęśliwie przetrwały one powstanie, ukryte w piwnicy. Teczki te w wielkich stertach stały pod ścianą. Obok była szafa biblioteczna. Wujek miał same stare książki. Chyba nie było ani jednej wydanej po wojnie. No, przesadzam, bo z powojennych wydawnictw było dużo poświęconych historii sztuki. Zarówno polskich jak i zagranicznych. Ponadto wiele reprodukcji malarstwa, no i obrazów. W ramach i bez ram.

Te stały po prostu pod ścianami albo i leżały na podłodze. W

sumie był tu zawsze wielki bałagan i dużo kurzu.

— A jakie obrazy wisiały na ścianach? — spytałem.

— Wie pan, że żadne. Wujek mówił, że tutaj nie ma warunków do prawidłowego eksponowania malarstwa. Wprawdzie na tych dwu ścianach, naprzeciwko okna i na tej największej wbił haki do wieszania obrazów. Nieraz, jak miał jakiś nabytek, wieszał go na jednej ze ścian, siadał na fotelu ustawionym naprzeciwko i całymi godzinami mu się przyglądał. Często patrzył na niego przez lornetkę. Mógł tak siedzieć i dwie godziny.

— O ile pamiętam, wujek miał jakiś cenny obraz. Coś z renesansu włoskiego. Rafael czy Michał Anioł. Mam na myśli ten obraz, który zaginął. Jego nigdy nie wieszał?

— Nigdy. Może w nocy, gdy wszyscy spali. Ale chyba też nie, bo ten obraz — to był podobno szkic Michała Anioła — nie miał

ram i nie można go było powiesić.

— Pani często oglądała tego Michała Anioła.

Małaszewiczowa uśmiechnęła się.

— Wuj był bardzo skryty. Początkowo nawet nie wiedziałam, że posiada coś takiego. Mieszkał już u nas dobre pół roku, gdy w najgłębszej tajemnicy zaprosił mojego ojca do swojego pokoju, aby mu pokazać coś cennego. Matka się śmiała, że na pewno są to jakieś bezwartościowe starocie. Oglądali

ten skarb z godzinę, tak że trzeba ich było niemal siłą ściągnąć na obiad.

Mieli obaj bardzo tajemnicze i zadowolone miny. Dopiero po jakimś miesiącu wuj dopuścił matkę i mnie do tajemnicy.

Najpierw tylko powiedział, że ma bezcenny obraz Michała Anioła, a po kilku dniach zaprosił nas do pokoju i pokazał ten swój skarb. Muszę się przyznać, że nie zrobił on na mnie specjalnie dużego wrażenia. Później widziałam ten obraz może dwa albo trzy razy. Po prostu, gdy wuj czuł się źle i był w kiepskim nastroju, matka sprowadzała rozmowę na obraz i prosiła wuja, aby go znowu pokazał. On najpierw bronił się, a potem ustępował.

—Gdzie go trzymał? — zapytałem.

Młoda kobieta pokręciła głową:, ä.

— Tego to nikt nie wiedział. Wuj szedł najpierw sam do pokoju, a potem otwierał szeroko drzwi i zapraszał nas do środka. Obraz już wtedy był przygotowany. Wuj kładł na stole jakąś atlasową kapeę, a na niej leżał ten szkic. Na tle wiśniowej kapy przedstawiał się nawet dość interesująco.

Niestety, obraz zaginął. A szkoda...

Rozejrzałem się jeszcze do pokoju.

—A co się stało z rzeczami pana Misia?

— Po jego śmierci matka zabroniła cokolwiek ruszać albo zmieniać w pokoju. Był cały czas zamknięty na klucz. Mniej więcej raz na miesiąc matka wchodziła do środka i wycierała kurze. Po śmierci matki nie miałam żadnego powodu, aby utrzymywać tę zakurzoną gracią w dalszym ciągu. Meble nadawały się tylko na śmietnik i tam je wyrzuciłam. Kazałam odmalować pokój, umeblowałam go na nowo. Teraz jest całkiem przyjemny, prawda?

Zgodziłem się z nią całkowicie. — A co z ruchomościami pozostałymi po wujku?

Machnęła lekceważąco ręką.

— Co tam za ruchomości? Kupa starych papierów i tyle. Część wyrzuciłam, inne leżą gdzieś w piwnicy.

—A obrazy? A książki?

— Tylko książki, obrazów nie było żadnych. Książek też niezbyt wiele. Część wstawiłam do komisju, inne sprzedałam znajomemu Misia. To były rzeczy mało wartościowe, za najdroższą książkę zapłacono mi chyba 20 złotych.

Porozmawialiśmy jeszcze o ostatniej nocy, którą Miś spędził

pod tym dachem. Bożena nie powiedziała nic nowego ponadto, co już znałem z akt sprawy. Umówiłem się z nią na następny dzień u siebie w komendzie. Takie rozmowy, gdy obie strony rozdziela służbowe milicyjne biurko, są z reguły inne od zwykłych towarzyskich pogwarek. Chciałem przekonać się, jak Małaszewiczowa będzie się wtedy zachowywała.

Przyszła punktualnie, zachowywała się swobodnie, zapaliła papierosa, którego jej podałem.

— Zachodzę w głowę, dlaczego po tylu latach milicja interesuje się tą sprawą? — zapytała.

Dałem jakąś wymijającą odpowiedź.

— Interesuje mnie — powiedziałem — jaki tryb życia prowadził pani wuj?

Znałem to wprawdzie z akt, ale chciałem usłyszeć od niej.

— Mogę to panu. wyjaśnić w trzech słowach — uśmiechnęła się Bożena. — Żył wyjątkowo regularnie, niemalże jakby miał gdzieś w sobie zegarek. Budził się codziennie dokładnie o godzinie 9.00, jadł śniadanie w łóżku i czytał gazety albo książki.

Dokładnie z wybiciem godziny 11.00 wstawał. Mył się, ubierał, jadł drugie śniadanie. Zajmowało mu to czas do godziny 12.00.

Wtedy wychodził na miasto. Wuj był bardzo zdrowy, aż lekarze go podziwiali. Nie miał śladu sklerozy. Ale jednak wiek się liczył. Zwłaszcza że przez całe życie wuj unikał wysiłku fizycznego. Dlatego był bardzo słaby. Nigdzie nie poruszał się bez laski, nawet jak szedł ze swojego pokoju do jadalni, zabierał laskę. Nigdy też nie przechodził piechotą więcej niż do najbliższego przystanku autobusowego czy tramwajowego.

— To znaczy, że pani wuj nawet z laską nie mógł przejść większej odległości niż 200-300 metrów. A bez laski?

— Nie wiem, nigdy bez laski nie wychodził z domu. Przed wyjściem sprawdzał zawsze, czy ma dowód osobisty. Śmieszyło mnie to, bo portfel miał zawsze przy sobie, ale przed wyjściem wyciągał go i patrzył, czy dowód osobisty jest na miejscu. Jak mówiłam, wychodził zawsze o 12.00. Jechał do kawiarni. Był

stałym bywalcem kawiarni „Antyczna” na placu Trzech Krzyży, „Nowego Świata” albo „Mazowii” na Ordynackiej. W tych kawiarniach spotykał się ze swoimi znajomymi kolekcjonerami.

Odwiedzał też prawie codziennie antykwariaty. Jak pan zresztą zauważył, wszystkie te kawiarnie są w pobliżu antykwariatów.

Wuj wracał do domu na obiad około 15.30 — ciągnęła dalej Bożena. — Pa południu już nie wychodził z domu.

W każdym razie zdarzało się to nadzwyczaj rzadko. Odwiedzali go natomiast znajomi. Wuj przyjmował ich bardzo tajemniczo.

Sam otwierał drzwi wejściowe i natychmiast prowadził do swojego pokoju. Nigdy też tych swoich znajomych nie przedstawiał ani też nie mówił potem, kto go odwiedził.

— Jak pani myśli, czy wuj przed śmiercią nie mógł przekazać któremuś z tych znajomych, którzy go odwiedzali, tego szkicu Michała Anioła?

Dziewczyna rozłożyła ręce.

— Nic na ten temat nie wiem — powiedziała. — Wszystko jest możliwe. W każdym razie obraz zaginął.

Popatrzyłem na nią uważnie:

— Przyznam się — powiedziałem — że interesują mnie dalsze losy tego obrazu.

Zrobiła jakiś nieokreślony ruch ręką.

— Na dzisiaj skończymy — powiedziałem. — Poproszę panią jeszcze jutro do siebie, a wtedy formalnie spisujemy to wszystko, o czym dzisiaj rozmawialiśmy. Pani o której kończy pracę? Umówmy się więc na 15.30, zgoda?

Wkrótce po wyjściu Bożeny wpadł podekscytowany Jerzy Majski.

— A to historia! — zawołał. — Przynoszę ekspertyzę!

Uśmiejesz się!

Z uwagą przestudiowałem kartkę maszynopisu. Trzech wybitnych ekspertów z Muzeum Narodowego po zapoznaniu się ze zdjęciem szkicu rzekomego Michała Anioła stwierdziło, że jest to nieudolny falsyfikat. Ich zdaniem kopia była zrobiona na tyle niefachowo, że wystarczał niemal jeden rzut oka, aby przekonać się, że nie jest to oryginał. Zdaniem ekspertów, nawet ktoś słabo orientujący się w malarstwie renesansu włoskiego natychmiast musiał wykluczyć autentyczność szkicu.

— Teraz rozumiem, dlaczego Gar chciał zepchnąć ten obrazek za 300 tysięcy. Przecież, prawidłowo rozumując, jeśli to byłby oryginał, nie opłacało się sprzedawać go w kraju. U nas te rzeczy nie są w cenie. Całej bandzie zagranicznych handlarzy opłaca się przyjeżdżać do Polski, bo jeśli nawet zapłacą za cenny obraz wyśrubowaną, jak na warunki warszawskie, cenę, kupują go i tak

za pół darmo. Gar wiedział, że to jest falsyfikat, ale miał nadzieję, że wepchnie go u nas jakimś frajerowi za ciężkie pieniądze.

Pokiwałem głową. — Masz rację. Miś jednak mówił wszystkim, że ma oryginał, zaś tego szkicu prawie nikt nie widział.

Sprawca mógł chcieć zdobyć obraz, o

którym myślały że jest prawdziwym Michałem Aniołem — nawet za cenę morderstwa. Gdy już obraz zdobył i przekonał się, że to falsyfikat, życia Misiowi zwrócić nie było można...

Jerzy zastanowił się chwilę.

— Tak chyba i było. Czy jednak to wystarcza, aby podejrzewać o morderstwo Gara?

— On jest najbardziej podejrzany. Zastanówmy się, co robi morderca, gdy obraz już ma w rękę? Bez trudu, nawet bez pomocy ekspertów, ustala, że rzekomy Michał Anioł jest nieudolną kopią. Żal mu jednak go zniszczyć, bo obraz przedstawia jednak pewną wartość.

— Nawet niemałą — dopowiedział Jerzy. Eksperci uważali, że ta kopia warta jest 10 000 zł. Gdyby to był oryginał, wart byłby tyleż dolarów.

— Otóż sprawca sądzi, że będzie mógł sprzedać ten obraz.

Może znajdzie naiwnego i dostanie paręset tysięcy złotych?

Początkowo jednak nie może myśleć o sprzedaży obrazu, ponieważ ściągnąłby sobie milicję na kark. Musi odczekać, aż sprawa przyschnie. Mija siedem lat.

Morderca myśli, że jest to dostatecznie długo, aby milicja kompletnie zapomniała o Misiu. Decyduje się na sprzedaż. Zwróć uwagę, że Gar całą transakcję chciał przeprowadzić konspiracyjnie. Nawet nie

posiedział Waldkowi swego nazwiska. Normalnie chyba podobnych transakcji nie utrzymuje się w takiej tajemnicy. Ostatecznie, żadne przepisy w naszym kraju nie zabraniają sprzedaży obrazu, nawet najcenniejszego. I od nikogo się nie wymaga, aby udokumentował, skąd obraz znalazł się w jego posiadaniu.

Jerzy miał nadal wątpliwości.

— A nie sądzisz, że Gar ten obraz nabył od mordercy?

Łańcuszek mógł być zresztą dłuższy...

uśmiechnąłem się.

— Jeśli *nav/et* tak było, dojdziemy po nitce do kłębka. Ja zresztą uważam, że Gar tego obrazu nie kupił od nikogo. Gdyby on już raz był oferowany do sprzedaży, słyszeliśmy coś na ten temat. Tak jak teraz dowiedzieliśmy się natychmiast.

Zresztą wątpliwe jest, aby morderca wcześniej zdecydował się na sprzedaż obrazu. On wiedział, co mu grozi...

Następnego dnia Bożena Małaszewicz przybyła punktualnie.

Wyciągnąłem protokoły przesłuchania świadka, ale nim przystąpiliśmy do pisania, wyjąłem i rzuciłem na biurko fotografię rzekomego obrazu Michała Anioła.

— To ten sam? — zapytałem.

Bożena przyjrzała się fotografii uważnie.

— Skąd pan ma to zdjęcie?

Powtórzyłem pytanie: — To ten sam obraz, który był własnością Bartłomieja Władysława Misia?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Otworzyła torebkę, wyjęła z niej fotografię, położyła obok mojej. To było też zdjęcie rzekomego Michała Anioła.

— Skąd pani to ma? — Tym razem ja byłem zdziwiony.

— Muszę się panu przyznać do kłamstwa. — Małaszewiczowa była wyraźnie zdetonowana. —

Gdy rozmawialiśmy o. tak, nie powiedziałam prawdy. Jeśli jednak mam zeznać oficjalnie na piśmie...

Widzi pan, ja znalazłam ten obraz w papierach po wuju. Gdy umarła mama i zaczęłam robić porządki w dawnym pokoju wujka, podczas segregacji papierów, pomiędzy jakimiś wycinkami prasowymi znalazłam ten szkic. Od razu domyśliłam się, co to jest. Widzi pan, ja ten obraz widziałam parokroć za życia wujka, ale zawsze krótko i z pewnej odległości. Dopiero gdy go znalazłam, przyjrzałam mu się wyraźnie. Zresztą, na tym wiśniowym aksamicie, na którym eksponował go wujek, obraz wyglądał o wiele bardziej zachęcająco.

Obejrzałem fotografię przyniesioną przez Małaszewiczową. Nie mogło być żadnej wątpliwości. Górny prawy róg pergaminu był

lekko załamany i obydwa zdjęcia pokazywały to dokładnie.

— I co pani zrobiła z tym znalezionym obrazem?

— Bardzo się ucieszyłam, bo wuj mówił, że ten obraz jest taki cenny. Bałam się, żeby mi ktoś nie ukradł ani też nie oszukał na sprzedaży. Zrobiłam fotografię, właśnie tę.

Porozumiałam się z jednym ze znajomych wujka, profesorem Rokickim. On się znakomicie zna na obrazach, kocha je. Ale nigdy nie kupuje obrazów, bo mówi, że go na to nie stać. Nie sprzedaje też. Nie handluje nimi w ogóle. Wiedziałam, że wujek często zasięgał u niego porady. Uczyniłam to samo. Profesor obejrzał fotografię z zainteresowaniem, bo jak mówił, wuj mu nigdy nie pokazywał tego obrazu. Pokręcił jednak głową i powiedział, że to nie jest oryginał. Byłam bardzo zmartwiona i wtedy pan Rokicki powiedział, że jego zdanie nie jest jeszcze ostateczne. Zatrzymał u siebie fotografię, aby poradzić się innych znawców. Niestety, oni potwierdzili jego opinię. Nie wiem, kogo się radził. Gdy profesor zwracał mi fotografię, wyjaśnił, że ta kopia też jest sporo warta. Pytałam go o cenę, ale on nie chciał mówić, tłumaczył,

czył, że on nie zajmuje się handlem obrazami i nie wie, ile za tę kopię można dostać. Ponieważ bardzo nalegałam, zadzwonił do jakiegoś znajomego. Ten powiedział, że obrazu nie wolno sprzedawać taniej niż za 10 000 złotych, a jak trafię na amatora, to może mi zapłacić i 20 000 złotych.

— I co było potem?

— Chciałam sprzedać obraz, ale nie wiedziałam komu.

Profesor Rokicki nie mógł, czy też nie chciał mi w tym pomóc.

Oferowałem obraz innym znajomym wuja, ale on ich nie interesował. Traf chciał, że w kawiarni spotkałam pana, który odwiedzał dość często wuja przed jego śmiercią. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, jak on się nazywa. Powiedziałam mu, że mam tę kopię wycenioną na 20 000 zł. Nie był zdecydowany powiedział, że się zastanowi. Po trzech dniach przyszedł do mnie do domu wieczorem i przyniósł 20 000 zł. Niemal nie oglądał obrazu, schował go do teczki i poszedł. Dopiero wtedy dowiedziałam się, jak się nazywa. Był to pan Gar. Pragnę podkreślić, że pan Gar wiedział, że kupuje ode mnie kopię. Na moją prośbę napisał takie króciutkie oświadczenie, że nabył

obraz, który nie jest oryginałem Michała Anioła, a jedynie kopią nieznanego autora. Jeśli teraz ktoś rości pretensję, że to nie jest oryginał, to ja jestem niewinna, panie majorze!

Nie powiedziałem nic. Piękna koncepcja zwała się w gruzy.

VIII

— I co teraz? — powiedział Jerzy. — Odkładamy sprawę do archiwum. Siedzieliśmy w trójkę z Majskim i Tchorzewskim u mnie w gabinecie. Przed chwilą wróciłem od pułkownika. Wysłuchał mojej relacji i nie miał żadnych uwag.

Zwłaszcza że w jego biurku leżały już przygotowane akta nowej sprawy.

— I co teraz? — powtórzył Jerzy. Waldek oglądał swoje wymanikiurowane paznokcie, raz po raz

zerkając na mnie z ukosa. Czuję, że im nie w smak leży pozostawienie sprawy Misia. Mnie także.

— Ja wam powiem, chłopaki — zacząłem ogródkiem. — Ta nowa sprawa nie zajac, nie ucieknie. Czy ją skończymy tydzień wcześniej, czy tydzień później, niebo się nie zawali. Sprawca pod kluczem, a ta robota, co została, zmuDNA i nudna. Uda się skręcić trochę czasu...

— Mówisz, jakbyśmy się nie znali — roześmiał się Majski. —

Mało to razy słySzałem, jak przy takich nudnych sprawach tłumaczyłeś pułkownikowi, że to taka cholerna i długa robota, bo trzeba sprawdzić każdy szczegóŁ, nawet jeśli w sposób oczywisty nie ma znaczenia dla sprawy. Pułkownik ci nie wierzył, ale co miał robić. Ja myślę, że jak masz znowu siedzieć godzinami po kawiarniach, podrywać dziewczyny i wyrzekać, że zły los spędził ci na kark taką nudną sprawę, to lepiej będzie, jak sobie prywatnie i całkiem po cichu popracujesz nad tą gwałtowną śmiercią Misia.

Waldek przestał czyścić paznokcie.

— Tylko bardziej metodycznie niż dotychczas. Strzeliłeś byka, że chwyciłeś się tylko jednej koncepcji. Uwierzyłeś, że zamordowano po to, aby zdobyć oryginalny obraz Michała Anioła i że posiadacz tego obrazu musi być mordercą. No, albo do mordercy zaprowadzić. A teraz to wszystko okazało się lipą.

— Nawet podejrzane zachowanie się Gara jest całkowicie jasne

— dobijał mnie Jerzy. — Jak ktoś sprzedaje falsyfikat za oryginał, to nic dziwnego, że ukrywa swoje nazwisko i adres.

— Mnie się zdaje, że, tu nie chodziło wcale o obraz —

Waldek zaczął rozwijać nową koncepcję. — Pomyślcie: przecież ten Miś prawie że nie wydawał na siebie pieniędzy. A zarabiać musiał sporo, co do tego jesteśmy zgodni. Co robił z pieniędzmi? Mnie się wydaje, że jeśli znajdziemy te jego pieniądze, to znajdziemy mordercę. Przypuszczam, że zmarły pieniądze w czymś lokował. Pamiętajcie, że zajmował się numizmatyką. Dam sobie rękę odciąć, że zgromadził niezłą kolekcję złotych dziesięciodolarówek. Co się z nimi stało?

Jerzy roześmiał się.. — Szukaj igły w stogu siana! Obraz Michała Anioła łatwo w Polsce znaleźć, ale złote dziesięciodolarówki, które były kiedyś własnością Misia? Moim zdaniem nie ma co się sugerować jakąkolwiek koncepcją. Trzeba odwalić robotę od początku. Wiemy jedno: Miś opuścił dom, pozostawiając nieczytelny list, który miał tłumaczyć ten krok.

Wieczorem już nie żył. W tych okolicznościach można chyba wykluczyć, aby zabili go jacyś przypadkowi sprawcy, którzy połasiłi się na portfel nieznanego przechodnia. Morderca znajduje się w kręgu znajomych Misia. Sęk w tym, że niektórzy jego ówczesni znajomi już nie żyją, inni wyjechali za granicę.

Na przykład ten Bednarek, kierownik antykwariatu, którego z Misiem łączyły różne interesy. Inni znajomi też powiedzą niewiele, lata minęły, szczegóły zatarły się w pamięci. W tej sytuacji pozostają nam tylko akta. Ba, żebyśmy to my od samego początku prowadzili tę sprawę! Zbyt wiele luk w materiałach. A musimy się oprzeć tylko na aktach...

Od następnego ranka zabraliśmy się do roboty. Nowa sprawa zajmowała dużo czasu, ale godzinę lub dwie można było wygospodarować. Na pierwszy ogień wzięliśmy wszystkie kontakty Misia. Chciałem, aby ostatnie tygodnie jego życia prześledzić dzień po dniu, a nawet godzina po godzinie. Obraz z wolna zaczynał się rysować.

Pod koniec grudnia 1962 roku Miś prowadził normalny tryb życia. Tuż po świętach Bożego Narodzenia otrzymał list od swego znajomego, znanego kolekcjonera Kazimierza Pomian-Zakrzewskiego z Waśniewic. Pomian donosił, że wysyła Misiowi 350 zł za otrzymane książki, a gdy będzie miał pieniądze, których się spodziewa, dopłaci pozostałe 250 zł. Te kwoty wydawały się

celowe zaniżone, nie było prawdopodobne, aby Pomian, człowiek bogaty — jak nam to było wiadome — miał

kłopoty z wysłaniem 250 zł. Nie zachowały się żadne przekazy pocztowe i nie byliśmy w stanie ustalić, ile tych pieniędzy Pomian rzeczywiście wysłał Misiowi.

Jeszcze przed Nowym Rokiem Miś odpowiedział listownie Pomianowi. Zapowiadał, że w najbliższych dniach wyśle do niego pięć obrazów olejnych pędzla Rodakowskiego, przedstawiających portrety Kościuszki i innych dowódców Insurekcji. Portrety te Miś wycenił po 500 zł od sztuki.

Ustaliliśmy, że te obrazy Rodakowskiego Miś otrzymał zapewne od niejakiej Sztosowej z Łodzi, wdowy po jego dawnym kontrahencie. W każdym razie jeszcze przed Nowym Rokiem Sztosowa pisała do Misia, domagając się przysłania należności za jakieś obrazy, nie precyzując zresztą, co to są za obrazy.

Nawiasem mówiąc, te pięć obrazów Rodakowskiego nie zostało nigdy odnalezione.

Przez pierwszy tydzień stycznia Miś czuł się źle i nie wychodził w ogóle z domu. Nie odwiedzał go nikt, nie wpłynęła też w tym czasie żadna korespondencja. Zapewne w tym czasie Miś przeprowadzał segregację książek w swojej bibliotece. W

każdym razie 8 stycznia wysłał do antykwariatu naukowego w Krakowie czterdzieści parę tomów do sprzedaży.

10 stycznia Misia odwiedził znajomy. Był to Wojciech Borowik, z wykształcenia aktor, kolekcjoner i bibliofil, który zajmował się handlem i dziełami sztuki. Przesłuchiwany już po śmierci Misia Borowik zeznał, że celem jego odwiedzin była bezgotówkowa wymiana książek. Niestety, w aktach nie było wyjaśnione, o jakie książki chodziło.

W tym czasie Miś czuje się już lepiej i wznawia swe codzienne wyjazdy do śródmiejskich kawiarni. Spotyka się tam ze znajomymi, ale w aktach nie jest sprecyzowane, z kim.

W połowie stycznia rodzina zauważyła, że Miś jest w stanie silnego zdenerwowania. Nie chciał zdradzić przyczyn. W tym czasie odwiedziny jego znajomych stają się częstsze. Wszyscy odwiedzający zostali przesłuchani przez milicję. Nie powiedzieli nic ciekawego. Jedni twierdzili, że odwiedzili Misia dlatego, ponieważ poprzednio był chory i chcieli dowiedzieć się o jego zdrowie. Inni mówili, że chcieli bezgotówkowo wymienić z Misiem kilka książek. W protokołach przesłuchań świadków ten zwrot, że chciano bezgotówkowo wymieniać książki, pojawia się z zadziwiającą regularnością. Żaden ze świadków nie zeznał, że do Misia sprowadziły go jakieś sprawy związane z obrazami czy w ogóle z dziełami sztuki. Wszyscy przedstawiali się jako prywatni znajomi, zainteresowani zdrowiem przyjaciela, a co najwyżej jako bibliofile. No cóż — książki są tańsze od obrazów...

Miś nadal zdradzał objawy dość silnego zdenerwowania. Nie chciał nic mówić na ten temat, ale indagowany kiedyś mocno przez siostrę, powiedział, że jeden z jego gości próbuje go szantażować. Miś wyjaśnił, że postanowił sprzedać obraz Michała Anioła za granicę, co jest transakcją nielegalną a ów znajomy groził, że powiadomi o tym milicję i władze celne. Gdy siostra nalegała, aby powiedział jej, kto jest tym szantażystą, Miś wskazał jej kiedyś dwu mężczyzn, którzy właśnie byli u niego. Jednym był Koński, drugim Gar. Nie wiedziała, którego z nich brat miał na myśli.

Ta rozmowa z siostrą miała miejsce między 15 a 20 stycznia.

Z tego okresu zachowała się też korespondencja do Misia. W

liście datowanym z 16 stycznia, w sposób bardzo dyskretny, Koński pisze o jakiejś transakcji z obrazami. Zastanawiające, że Koński napisał w tym samym czasie, gdy odwiedzał starego kolekcjonera osobiście. W liście pewien fragment zwraca uwagę: Sprawa

sprzedaży jest w pełnym toku — pisał Koński — i wymaga wielodniowego wysiłku... i pod Warszawą trzeba wyjechać. Z

listu nie wynika, o sprzedaż czego chodziło. Protokół

przesłuchania Końskiego nie zawiera najmniejszej wzmianki na ten temat. Można tylko domyślać się z kontekstu listu, że przedmiot, który Miś chciał sprzedać za pośrednictwem Końskiego, znajdował się w posiadaniu tego ostatniego. Zapewne nie chodziło

o rzekomy obraz Michała Anioła. Ten bowiem miał Miś u siebie, co stwierdziła siostra.

18 stycznia Koński po raz drugi i w tej samej sprawie napisał list do Misia. Ten list wyraźnie sugerował, że chodzi o

transakcję bardzo poważną. Koński narzekał, że cena podana przez Misia jest bardzo wysoka i przekracza możliwości nie tylko prywatnego nabywcy, lecz także instytucji państwowej.

Przesłuchiwany później Koński zeznał, po okazaniu mu tego listu, że chodziło

o otrzymane od Misia do sprzedaży pięć szkiców Rodakowskiego i dwa obrazy Kossaka przedstawiające łby końskie. Każdy z tych obrazów miał kosztować po 800 zł. Wyjaśnił także, że 17

stycznia, a więc dzień przed napisaniem listu do Misia, wszystkie siedem obrazów zostawił do ewentualnej sprzedaży w dziale

zakupów Muzeum Narodowego w Warszawie. Ponieważ Muzeum nie reflektowało na te obrazy,

Koński odebrał je 19 stycznia, a nazajutrz zwrócił Misiowi.

Niestety, prowadzący dochodzenie w 1963 r. nie zainteresowali się, dlaczego

obrazach wycenianych po 800 zł za sztukę Koński pisał do Misia, że są tak drogie, iż przekraczają możliwości nabywcze nawet instytucji państwowej. Sprawdzono tylko, że w podanych datach Koński rzeczywiście zostawił i następnie odebrał obrazy Rodakowskiego

1 Kossaka w dziale zakupów Muzeum Narodowego. Dochodzenie nie ustaliło także, czy szkice Rodakowskiego i łby końskie Kossaka to były te same obrazy, których kupno Miś wcześniej proponował

Pomianowi z Waśniewic. Z akt sprawy nie wynikało zresztą czy Pomian reflektował na te obrazy. Może je nawet i kupił? Pomian nie był, niestety, przesłuchiwany.

20 i 23 stycznia Miś dwukrotnie odwiedził antykwiariat Desy na Starym Mieście. W aktach znajdowały się protokoły przesłuchań personelu. O jednej z wizyt Misia pracownicy nie potrafili powiedzieć nic. Zapewne stary kolekcjoner tylko na chwilę wpadł do antykwiariatu. W drugim wypadku przebywał on w Desie co najmniej półtorej godziny. Oglądał znajdujące się tam numizmaty, bo właśnie antykwiariat otrzymał nieco interesujących monet. Miś skarżył się wówczas, że coraz trudniej jest znaleźć jakieś nowe ciekawe eksponaty, narzekał, że bardzo wiele dzieł sztuki wywozi się z kraju, że sprzedają je amatorzy, którzy nie znają ich rzeczywistej wartości. Wolą oni handlować z cudzoziemcami niż z polskimi kolekcjonerami, takimi jak Miś. Pracownik antykwiariatu, który z Misiem rozmawiał dość długo, zeznał, że stary kolekcjoner robił

wrażenie wesołego, opowiadał anegdotki.

Sprzedawca, który od lat znał Misia, nie zauważył, aby był on zdenerwowany.

24 stycznia o godzinie 12.00 do mieszkania Misia przyszedł

Wojciech Borowik. Podczas poprzedniej wizyty na ulicy Koneckiej, w dniu 10 stycznia, aktor uzgodnił z gospodarzem, że w tym właśnie terminie zgłosi się do niego po odbiór obiecanych książek. Tak w każdym razie Borowik zeznał podczas przesłuchania. Misia jednak nie zastał w domu. Dwa albo trzy dni później kolekcjoner zadzwonił do niego do mieszkania.

Przepraszał, że pilne i nagłe sprawy zmusiły go 24 stycznia do wyjścia z domu. Prosił Borowika, aby ten odwiedził go we wtorek 2 lutego, też o godzinie 12.00. Aktor przybył w tym czasie na Konecką. Zeznał w trakcie dochodzenia, że drzwi otworzyła mu młoda, przystojna kobieta i powiedziała, że Misia nie ma w domu. W zachowaniu tej kobiety Borowik nie zauważył nic szczególnego. Była spokojna, zachowywała się normalnie. Aktor, jak zeznał, nie wiedział

nic, że tegoż właśnie dnia, wczesnym rankiem, Miś zginął z domu. Myślał, że jakieś inne sprawy przeszkodziły mu w odbyciu umówionego spotkania. Borowik w trakcie dochodzenia wyjaśnił, że chociaż odwiedzał Misia wielokrotnie, nie znał, nawet z widzenia, innych domowników. Zapewne drzwi otworzyła mu w dniu 2 lutego Małaszewiczowa. Przesłuchiwana na tę okoliczność Bożena stanowczo twierdziła, że we wtorek 2 lutego, tuż po zniknięciu Misia, nikt nie odwiedzał go w mieszkaniu.

Potwierdzili to w swoich zeznaniach oboje Kałużyńscy. Z akt sprawy wnika, że sprawa tych odwiedzin Borowika nie została wyjaśniona.

Podczas rewizji znaleziono list do Misia, pisany 24 stycznia przez mieszkającego w Łodzi jego znajomego, handlarza obrazów Józefa Polanowskiego. Z korespondencji wynikało, że stary kolekcjoner winien był Polanowskiemu 900 zł za jakieś książki wydane w XIX wieku. Dług ten miał być zwrócony do 15 stycznia, ale Miś nie wywiązał się z podjętego zobowiązania.

Przesłuchiwany następnie Polanowski potwierdził ten fakt i okazał list, jaki Miś wysłał do niego 25 stycznia. Była to krótka kartka. Nie zakwestionowano jej i nie włączono do akt śledztwa. Z notatki sporządzonej przez oficera docho-dzeniowego komendy miasta MO w Łodzi wynikało, że Miś skarżył

się na kłopoty finansowe, ponieważ jego kontrahenci winni są mu dużo pieniędzy. Stary kolekcjoner prosił Polanowskiego, aby ten odwiedził go w pierwszych dniach lutego w Warszawie, a wtedy uiści dług. Polanowski miał być w Warszawie około 5

lutego i Miś znał ten termin. Z akt nie wynikało, aby podjęte zostały jakiegokolwiek czynności, zmierzające do ustalenia, jacy to kontrahenci winni byli Misiowi pieniądze, i o jak wielkie sumy chodziło.

29 stycznia Miś odwiedził antykwariat przy ulicy Świętokrzyskiej, gdzie znajdowało się sporo jego książek zostawionych do sprzedaży. Spieszył się jednak bardzo, ponieważ musiał już jechać do domu na Mokotów, aby się nie spóźnić na obiad. Przełożył wobec tego planowaną dłuższą rozmowę na przyszły tydzień. Prosił jedynie pracownicę antykwariatu, aby przepisała mu z jednej z książek dwie strony, za co obiecał jej zapłacić. Bardzo mu zależało, aby uczyniła to szybko. Rozmowa miała miejsce w piątek, żegnając się Miś zapowiedział, że przybędzie do antykwariatu po niedzieli 31

stycznia. Nie zdążył już zgłosić się po potrzebny mu tekst. W

aktach nie było wyjaśnione, na przepisaniu których stron i z jakiej książki Misiowi zależało.

W sobotę, 30 stycznia, Miś normalnie wyjechał z domu do kawiarni, wrócił jednak wcześniej niż zazwyczaj. Mówił, że jest przeziębiony. W niedzielę i po niedziątek był rzeczywiście niezdrów, jak już wiemy, i tylko na krótko wychodził z domu, do kościoła, do sklepu i apteki.

To było wszystko, czego dowiedzieliśmy się o ostatnim miesiącu życia Misia.

W moim mieszkaniu urządziliśmy krótką naradę. Trzeba było ustalić jakiś plan dochodzenia.

— Punktów zaczepienia jest sporo. Od czego zaczniemy? —

zapytał Waldek.

Jerzy był zdania, że na plan pierwszy trzeba wziąć Końskiego.

— Wtedy bardzo poszkapili tę kwestię. Pierwsze pytanie: Co stało się z tymi pięcioma obrazami Rodakowskiego i dwoma Kossaka? Podawane przez Końskiego ceny wydają mi się zaniżone, ale to nie jest najważniejsze. Koński zeznał, że 20 stycznia zwrócił wszystkie siedem obrazów Misiowi. Nie znaleziono ich jednak u niego w mieszkaniu. Czy Miś przed śmiercią przekazał

je komuś innemu? Jeśli tak — to komu? Pamiętacie tę kartkę, którą opuszczając mieszkanie Mił zostawił na stercie książek?

Waldek kiwnął głową. — Tę, w której były dyspozycje, co się od kogo należy i komu przekazać pozostawione książki — powiedział.

— Właśnie — Jerzy ciągnął dalej. — Ta kartka jest w aktach.

O właśnie to ta, zwróćcie uwagę na ten fragment: Jestem winien Wojciechowi Borowikowi Puławska 34 m. 103 kwotę 250 + 150 jako też mam jego książki „Rozrywki dla Dzieci”, 6 tomów tutaj, 1 w księgarni na Świętokrzyskiej, oprócz tego on posiada, obrazek Wiarus, końskie łebki JK, kościół świętego Aleksandra, Kościuszko i pudełko w szafce nocnej na półeczce. Chodzi mi o te inicjały JK. Czyżby była mowa o łbach końskich pędzla Juliusza Kos - saka? Jeśli tak, to chodzi zapewne o te same obrazy, które wziął od Misia Koński i zwrócił mu je następnie 20 stycznia.

— Tę hipotezę możemy przyjąć robo czo — powiedziałem. — Wtedy tylko trzeba znaleźć odpowiedź na pytanie: Co stało się z pięcioma obrazami Rodakowskiego, które Koński też miał zwrócić Misiowi?

Jerzy, machnął niecierpliwie ręką.

— Pytanie postawione prawidłowo, ale ja jeszcze nie skończyłem. Te siedem obrazów, z których dwa dostały się zapewne w posiadanie Borowika, ma mniejsze znaczenie. Choćby były najdroższe, ich wartość nie mogła być aż tak wielka, aby, jak to pisał Koński do Misia: Ceny, jakie Sz. Pan podał, przestraszają jako nierealne w stosunku do możliwości finansowych prywatnego człowieka, a nawet instytucji państwowej... Nasz Waldek jest najlepszym dowodem, że w tym kraju prywatni ludzie robią transakcję obrazami wycenianymi na 300 tysięcy złotych. Zakładając nawet, że cena obrazów Rodakowskiego i Kossaka była dziesięciokrotnie wyższa, niż to zeznał Koński, mielibyśmy do czynienia z kwotą 8 tysięcy razy 7, co czyni razem 56 tysięcy złotych. Czy taka kwota przerasta możliwości instytucji państwowej?

— Muzea u nas w kraju groszem nie śmierzdzą — zauważył Waldek.

— Racja — powiedział Jerzy. — Jeśli jednak chcą kupić jakieś obrazy, taka kwota leży w granicach ich możliwości. Również osoby prywatne, nawet żadni milionerzy czy producenci plastikowych mydelniczek mogą sobie fundnąć obraz za 7 tysięcy. Ostatecznie, nikt nie musiał kupować całości, te szkice Rodakowskiego i akwarele Kossaka można było sprzedąć pojedynczo.

Przerwałem Majskiemu.

— Wszyscy wiemy, o co ci chodzi — powiedziałem. —

Podejrzewasz, że Miś przekazał do sprzedaży Końskiemu coś o wiele bardziej wartościowego niż szkice Rodakowskiego i Kossaka. Coś, co kosztowało nie kilka czy kilkadziesiąt, ale kilkaset tysięcy złotych.

— Zgoda, ale co to było? — włączył się Waldek. — Wiemy, że Miś posiadał tylko jedną rzecz, którą uważał za cenną. Mam na myśli szkic Michała Anioła. Pamiętajmy, że on nie wiedział, że to falsyfikat, święcie wierzył, że ma oryginał. Jeżeli jednak chciał go sprzedać, to nie powierzył go Końskiemu. Wiemy przecież, że ten rzekomy Michał Anioł leżał w pokoju Misia tak długo, aż znalazła go Małaszewiczowa. Swoją drogą dziwne, że nie znaleziono go podczas rewizji.

— Ty byś chyba też nie znalazł — uciałem. — Sprawdzałem tę kwestię. Tam była masa papierów. Tysiące samych wycinków prasowych, zbieranych przez kilkadziesiąt lat. Między nimi Miś ukrył ten arkusz pergaminu ze szkicem rzekomego Michała Anioła. Małaszewiczowa opowiadała mi, że szykując do wyrzucenia te papierzyska, zainteresowała się jakimś wycinkiem prasowym. Dotyczyło to jakiejś nie zakończonej sprawy i Małaszewiczową interesował ciąg dalszy. Wertowała więc wycinki, szukając późniejszych informacji prasowych na ten temat. Wtedy przypadkowo trafiła na ten szkic. Wyobrażam sobie, jak się ucieszyła!

Jerzy niecierpliwie machał rękami.

— Panowie, tak nie można! Mówimy naraz o wszystkim. Trzeba skupić się na zasadniczym. Co wiemy? Po pierwsze: Koński otrzymał do sprzedaży coś o bardzo dużej wartości, liczonej zapewne na kilkaset tysięcy złotych. Nie był to rzekomy Michał

Anioł, bo ten znajdował się w mieszkaniu Misia. A więc istniał

jeszcze jakiś inny cenny przedmiot. Po drugie: Koński szantażował Misia, zeznała to Kałużyńska. Domagał się jakiegoś poważnego świadectwa, grożąc, że w przeciwnym razie powiadomi władze, że stary kolekcjoner zamierza nielegalnie wywieźć za granicę rzekomego Michała Anioła. Szantaż ten zapewne nie przyniósł efektów, po prostu wystraszony Miś zrezygnował ze sprzedaży obrazu. Po trzecie: początkowo zakładaliśmy, że Misia zamordowano, aby mu zabrać rzekomego Michała Anioła, a więc rzecz

o wielkiej wartości finansowej. Czy nie można odwrócić tego zagadnienia? A więc przyjąć, że Misia zamordowano, aby mu nie zwrócić jakiejś innej rzeczy o wielkiej wartości finansowej?

Waldek podsumował dyskusję:

— A więc na rozkładzie trzeba mieć najpierw Końskiego.

Chyba trzeba wziąć byka za rogi. Spytamy Końskiego, co takiego dał mu Miś do sprzedaży. Zobaczymy, co na to odpowie.

IX

Byłem wściekły. Wyjechaliśmy z Warszawy z takim wyliczeniem, aby znaleźć się na miejscu przed zmierzchem, nie później niż przed 19.00. Ta niespodziewana awaria wozu pomieszała mi całkowicie plany. I to wszystko przez Waldka. Jakiś paproch z paliwa zapchał żychler w gaźniku naszej wołgi, a Waldek za-ofiarował się, że przeczyści to błyskawicznie. Przy okazji zaczął rozwodzić się, jak wspaniałym jest mechanikiem sa-mochodowym. Rzeczywiście, pokrywę gaźnika zdjął błyskawicznie.

Wybrał benzynę z komory pływakowej, było tam sporo brudu.

Potem po kolei odkręcał

i

przedmuchiwał żychlery. Miał już w ręku ostatni, gdy wydarzyło się nieszczęście. Pokazywał nam właśnie, jaki mały jest otwór w tym żychlerze, gdy wypadł

mu on z ręki wprost do dyszy gaźnika. Waldek grzebał tam palcem tak nieszczęśliwie, że nacisnął na prze-pustnicę, uchylił ją nieco i żychler wśliznął się do środka.

Co było robić... Waldek musiał zdejmować cały gaźnik i kolektor. Umazał się niemal do pasa. Wyciągnął wreszcie ten nieszczęsny żychler, ale zanim wszystko złożył, upłynęło dobre półtorej godziny. Potem jeszcze mył się u chłopca. Taki czysty!

W ten sposób zrobiło się już ciemno, a my byliśmy jeszcze o dobrą godzinę od celu.

Adres Końskiego ustaliliśmy nie bez kłopotów. Okazało się, że zlikwidował on mieszkanie, które zajmował w chwili śmierci Misia, opuścił Warszawę i przeniósł się na prowincję. Kilka dni trwało, nim dowiedzieliśmy się, że mieszka w samotnej willi w Beskidach, gdzieś w pobliżu Biecza. Postanowiliśmy złożyć mu tam wizytę. I oto byliśmy w drodze.

Na miejsce nie było łatwo trafić. W Bieczu dowiedzieliśmy się, gdzie jechać dalej. Szosa prowadziła w góry, lecz nie remontowano jej chyba od czasów nieboszczyka Franciszka Józefa. Dopytywaliśmy się o willę Końskiego jeszcze u jakiegoś chłopca. Miał wątpliwości, czy dojedziemy tam wołgą.

Zaparkowaliśmy więc wóz na poboczu szosy i dalej ruszyliśmy piechotą. Na skróty — jak wskazał nam chłopca. Pokazał on nam światelko na zboczu i powiedział, że to jest willa Końskiego.

Miała stać na samym skraju lasu, ale w ciemnościach żadnego lasu nie było widać.

Dróżka, którą szliśmy, wytyczana była chyba przez pijanego.

Nie chcieliśmy świecić latarkami, bałem się, że lada chwila ktoś skręci kark.

Ścieżka pięła się coraz bardziej pod górę. Z pewnym zdziwieniem zauważyliśmy, że wyszliśmy na szosę. Po górskiej dróżce wydawała się całkiem niezła.

Gdzieś w pobliżu musiała być willa Końskiego. I rzeczywiście, w ciemnościach dostrzegliśmy jakieś ogrodzenie.

Bramy nie było widać, ale znalazła się dziura w płocie. Chmury nieco odsłoniły księżyc i w mroku zarysowały się kontury domu.

Nie bardzo wiedzieliśmy, z której strony są drzwi wejściowe.

Obchodząc willę dookoła usłyszeliśmy ze środka dobiegającą muzykę. To dobrze, jeżeli nie

zgasili radia, to znaczy, że jeszcze nie śpią. Jerzy dotknął mojego ramienia i pokazał na okno. Na szybie widać było jakiś odbłask. Parter był bardzo wysoki, tak że przez okna nie można było zajrzeć do środka.

Trafiliśmy na tyły domu, od strony jakiegoś podwórka.

Niewielkie, betonowe schodki wiodły do drzwi, zapewne kuchennych. Wspiąłem się ku nim i już chciałem zapukać, gdy coś mnie tknęło. Nacisnąłem klamkę. Drzwi były otwarte. Po cichu wszedłem do niewielkiego korytarzyka. Z głębi domu słychać było muzykę taneczną a po chwili rozległ się głośny kobiecy śmiech z rodzaju, który nazywają perlistym.

— Czy nie pchamy się za bardzo na chama? — szeptał mi do ucha Jerzy.

— Cicho... — powiedziałem.

Otworzyłem jakieś drzwi. Myślałem, że wejdziemy do kuchni, ale znaleźliśmy się w obszernym hallu, z którego widać było jasno oświetlony, pusty pokój. Z niego prowadziły jeszcze jedne drzwi, tym razem zamknięte, a zza nich dobiegała muzyka.

Machnąłem ręką aby dać znać kolegom, że idziemy tam. Powoli nacisnąłem klamkę. Drzwi otworzyły się bez skrzypnięcia.

Przed nami był obszerny, zajmujący może połowę willi, pokój.

Cała jedna ściana składała się tylko ze szklanych okien.

Zapewne w dzień był stąd fantastyczny widok. Mnie jednak bardziej interesowało to, co działo się w środku.

Na puszystym dywanie leżała jakaś niekompletnie ubrana dziewczyna. Obok stały kieliszki. Druga, raczej kompletnie rozebrana, tańczyła z tęgim, niskim mężczyzną. W kącie stał adapter, obok prawdziwa bateria butelek.

— Bardzo przepraszamy — powiedziałem głośno.

Tęgi facet jak oparzony odskoczył od swojej partnerki.

Leżąca na brzuchu blondynka przekreśliła się na plecy i uniosła głowę.

— Co to za facety? — spytała nie wiadomo kogo.

Waldek wysunął się do przodu. — Przepraszamy za najście —

powiedział — ale my szukamy pana... — nie dokończył.

W głębi otworzyły się jeszcze jedne drzwi i pokazał się w nich młody mężczyzna o długich włosach, z bokobrodami, o mysim wyrazie twarzy. Jak osłupiały patrzył na Tchorzewskiego. Ten również wlepił w niego wzrok jak sroka w gnat.

— Co za spotkanie! To pan tutaj — zawołał Waldek, z lekka tylko zacinając się.

— To napad! Bandyti! Napadli nas! — zaczął ryczeć mężczyzna z bokobrodami. Brunetka, która poprzednio tańczyła, zakreśliła się, schwyciła butelkę i rzuciła w wiszącą lampę. Światło zgasło. Pokój rozjaśniał tylko blask padający z sąsiedniego pomieszczenia.

— Proszę zachować spokój. Służba kryminalna milicji obywatelskiej — usiłowałem interweniować. W tej samej chwili dostałem butelką w prawe ramię. Szkło pękło, jakiś alkohol prysnął mi na twarz.

— Gliny! — piszczała któraś z dziewczyn. — Nakryli nas!

Rozległ się strzał pistoletowy. Nie wiedziałem, kto strzela.

Przecież nie Waldek ani Jerzy. Na wszelki wypadek odskoczyłem w bok, ukląknąłem za jakąś szafką. Mało co widziałem.

Wyciągnąłem swój pistolet.

— Proszę zachować spokój! — zawołałem.

Znów rozległ się wystrzał. Zaraz potem usłyszałem bogatą wiązaną przekleństw Jerzego. Sądząc

po kierunku głosu, zorientowałem się, że jest gdzieś pod przeciwną ścianą.

Otarłem twarz rękawem marynarki. Dopiero teraz zorientowałem się, że jest zupełnie ciemno. Widocznie ustrzelili żarówkę w tamtym pokoju. Z adaptera dobiegały tylko dźwięki piosenki:

„Ach, co to był za ślub”. Te słowa wydały mi się szczególnie idiotyczne.

— Proszę rzucić broń i zachować spokój! — krzyknąłem. Nie było odpowiedzi. — Waldek, Jerzy, gdzie jesteście?!

— Zawarłem właśnie znajomość z pewnym tęgim panem — usłyszałem bardzo spokojny głos Jerzego. — No, nie ruszaj się!

— Waldek, a ty? — krzyknąłem w ciemność.

Nie było żadnej odpowiedzi. Powoli uniosłem się z klęczek.

Słyszałem jakiś oddech. Zrobiłem pół kroku do przodu.

— Nie ruszać się, bo będę strzelał — znów krzyknąłem. —

Gdzie tu jest jakieś światło?

Ktoś rzucił się do przodu, biegł przez pokój.

— Stój, bo strzelam! — Uniosłem lufę do góry, oddałem strzał ostrzegawczy. Słysząc było, jak sypie się tynk z sufitu. —

Stój!

Ten ktoś upadł. Znów było cicho, tylko ta cholerna płyta

„Ach, co to był za ślub”. A potem zajaśniał ostry snop światła. — To ja — usłyszałem głos Waldka — nie postrzel mnie czasem.

Światło reflektora obiegało cały pokój. Ta dziewczyna, która leżała na podłodze, kulila się teraz przy ścianie może dwa metry ode mnie. To jej oddech słyszałem przed chwilą. Draga stała w pobliżu adaptera. Jerzy wykręcił prawą rękę tęgemu mężczyźnie i krył się za jego plecami. Na samym środku pokoju leżał ten z bokobrodami. Upadł na płask, miał

rozłożone ręce, a w prawej inkrustowany jakąś masą perłową bębnekowy rewolwer. Waldek trzymał go w świetle reflektora.

— Puść tę zabawkę i połóż dłonie na karku — rozkazałem.

Uczynił to błyskawicznie.

Waldek podszedł z tamtej strony, nogą odsunął rewolwer na bok, a potem pochylił się i podniósł go.

— Poprosimy panie, aby pozwoliły do środka pokoju i usiadły obok kolegi — powiedziałem. Cofnąłem się do tyłu i oparłem plecami o ścianę. W tym domu mógł być jeszcze ktoś piąty, może być uzbrojony. — Uważajcie, chłopcy — powiedziałem

— być może nie jesteśmy tutaj sami.

— Poczekajcie tutaj kszynę, ja zwiedzę tę wiejską rezydencję

— poinformował głośno Jerzy.. Wyciągnął swoją latarkę i z pistoletem w dłoni wyszedł.

Płyta się skończyła, adapter tylko warczał.

— Ja bardzo przepraszam, ale myślałem, że to napad rabunkowy

— płaczącym głosem zaczął mówić długowłosey. — Ja znam tego pana, on chciał ode mnie kupić cenny obraz Michała Anioła. Ja go teraz zobaczyłem, myślałem, że mnie wykapował. Jak rany Boga, ja myślałem, że ten pan jest bandytą. Ja bardzo przepraszam, jak to pozory mylą...

— Pozwolenie na broń jest? — wściekłym głosem zapytał

Waldek. Czuję, że się śmiertelnie obraził za porównanie jego wyglądu do bandziora, a ponieważ nic innego nie przyszło mu do głowy, zaczął oficjalnie i zupełnie śmiesznie, zważywszy okoliczności.

— To tylko taka zabawka teatralna — zaczął tłumaczyć długowłosey.

— Zamknij twarz, kretynie — powiedziała jedna z dziewczyn. —

Polowania idiocie się zachciało, a nas wszystkich zwiną teraz za niewinność i wsadzą do kicia. Mówiłam jak komu dobremu, żeby się z tym gnatem nie obnosił.

Wrócił Jerzy.

— Dom czysty — powiedział. — Nigdzie nikogo nie ma. Zaraz zrobimy jasność. — Zaczął świecić reflektorem po ścianach.

Były tam jakieś kinkiety. Wyłącznik znalazł się łatwo.

Zapłonęło światło. Jak na tak duże pomieszczenie, było go trochę przymało, ale na nasze potrzeby musiało wystarczyć.

— Zrewidujemy teraz tych facetów i całą budę — powiedział Waldek.

— Ja protestuję. Bez nakazu prokuratora rewizja nie może mieć miejsca — odzyskał głos gruby.

Nie zwróciliśmy na to uwagi. Kiedy już strzelają do milicji

— to straszenie prokuratorem świadczy o braku poczucia humoru.

Nie znaleźliśmy nic. W każdym razie przy naszej czwórce, bo domek okazał się całkiem ciekawy. W sąsiednim gabi-neciku, w uroczym biureczku w stylu Księstwa Warszawskiego, w pierwszej z brzegu szufladzie znaleźliśmy 120 tysięcy koron czeskich i 80 tysięcy forintów. Waldek wyciągnął skądś turystyczną mapę, na której czerwoną kredką wyrysowano pięknie trasę przez granicę do Słowacji. W szopie na podwórku stało białe BMW.

Lewe tylne koło było zdjęte, tak że skrytkę pod karoserią znaleźliśmy bez kłopotów.

Zatrzymani śpiewali chętnie. Wytrzeźwiali już całkowicie i patrzyli na młodzieńca z bokobrodami, znanego już Waldkowi ze spotkania w Sopocie, Gara takim wzrokiem, że strach byłoby zostawić ich samych. Chyba by go zlinczowali. Wcale się zresztą temu nie dziwię.

Sam Gar doskonale rozumiał, co mu grozi za strzelanie do milicji. Twierdził wprawdzie uparcie, że strzelał przez uchylone drzwi do żarówki w drugim pokoju i w żadnym wypadku nie chciał nikogo poranić ani też stawiać zbrojne go oporu. Było to nawet wiarygodne, choć tłumaczenie, że zależało mu na zgaszeniu światła ze względu na niekompletny strój pań uznałem za naciągane. Obawiając się odpowiedzialności za użycie broni, Gar sypał wszystko po kolei.

Oczywiście, chodziło o przemyt. W tej willi była baza przerzutowa. Mieli kilku górali na „pracach zleconych”, którzy przechodzili na tamtą stronę granicy. Gar podał skwapliwie ich nazwiska

i

adresy. Teraz przyjechali w czwórkę, wraz z większą ilością czeskich i węgierskich walut. Tę forszę mieli dostać ich ludzie i zakupić po drugiej stronie granicy towar. Po przeniesieniu towaru do willi Gar wraz z towarzyszem, nazywał się on Stanisław Sias, mieli przewieźć cały ładunek do Warszawy. Obie dziewczyny podobno nie miały z tym nic wspólnego. Wiedziały wprawdzie o przemytniczym procederze znajomych, ale rzekomo nie uczestniczyły w nim. Przyjechały tutaj wyłącznie w celach rozrywkowych. Przerzucanie partii towaru przez góry musiało trwać co najmniej tydzień i miła czwórka chciała to oczekiwanie spędzić jak najbardziej wesoło.

Mało mnie to w sumie interesowało. Przesłuchaliśmy ich wprawdzie, ale całą sprawę i tak musiała przejąć komenda powiatowa w Gorlicach. Rano wysłałem Waldka do Biecza, wkrótce potem zjechały się miejscowe radiowozy.

Mnie interesowało, co dzieje się z Końskim. Czy również zajmuje się przemytem? Gar przysięgał, że nie. Zeznał, że on sam osobiście handluje dziełami sztuki, ponieważ ma bardzo artystyczną duszę, ale jest to działalność niezbyt wdzięczna.

Już parę razy znajomi handlarze sprzedali mu eksponaty, które były funta kłaków nie warte. Ledwo wyszedł na swoje i kupę czasu stracił, nim znalazł naiwnego cudzoziemca, któremu za pół darmo

wepchnął autentyczną piętnasto- wieczną ikonę Rublowa z dyskretnym

napisem na odwrocie: Zakłady produkcji pomocniczej Ruch w Wołominie. Handel towarami importowanymi z Czechosłowacji o wiele bardziej się opłacał, a dziełami sztuki Gar zajmował się raczej z amatorstwa.

Przed rokiem spotkał Końskiego, którego znał od kilku lat.

Ten opowiadał, że przeniósł się z Warszawy i mieszka w willi w górach. Niestety, niedomaga ze zdrowiem i musi systematycznie korzystać z opieki lekarskiej. Dlatego przeniósł się do znajomego do Krakowa, u którego odnajął pokój. Zameldowany był

jednak nadal w swojej willi. Gar stosunkowo tanio wynajął ten dom w górach wraz z całym wyposażeniem. Końskiemu zapłacił za dwa lata z góry. Widział się z nim ostatnio przed trzema miesiącami w Krakowie, u Wierzyńka. Koński był tam w jakimś towarzystwie, chwilę rozmawiali na temat willi. Gar nie znał

adresu, pod którym Koński mieszkał w Krakowie. W razie czego Koński miał do niego wysłać kartkę.

Spytałem o Madonnę rzekomego Michała Anioła. Gar miał bardzo kiepską minę i odwracał głowę od Waldka, który przysłuchiwał

się jego zeznaniom. Potwierdził, że wiedział, iż to był

falsyfikat. Bardzo się rozczarował, gdy Waldek nie przybył na drugie umówione spotkanie. Szkic rzekomego Michała Anioła miał

w swoim warszawskim mieszkaniu. Trzymał go po prostu w biurku.

O

Misiu wiedział niewiele. Poznał go przez Końskiego na kilka miesięcy przed śmiercią starego kolekcjonera. Kręcił się bardzo koło niego, bo wtedy sam stawiał pierwsze kroki w handlu obrazami i miał nadzieję, że jako pośrednik przy Misiu dobrze zarobi. Ostatecznie podobno nie zarobił nic, bo Miś mu nie chciał dać żadnego obrazu w komis. Może to była i prawda. Wiedział, że Miś i Koński pro wadzili jakieś grube transakcje, ale żaden nie chciał zdradzić szczegółów.

To był cały efekt naszej wizyty, nie licząc wykrycia afery przemytniczej. Ale ta afera i tak szła na szczyt rzeszowskich kolegów...

X

Końskiego spotkaliśmy dopiero tydzień później w Krakowie.

Wprawdzie ustalenie jego miejsca zamieszkania zajęło krakowskiej komendzie tylko parę godzin, lecz pułkownik nie chciał nas wypuścić z Warszawy. Ostatecznie pojechaliśmy z Jerzym, Waldek został czyścić akta tej nudnej sprawy, którą nam wepchnęli na siłę.

Wizytę złożyliśmy grzecznie, o szóstej po południu. Koński miał już dobrą sześćdziesiątkę, był okrągły, pulchnutki, całkiem łysy, o wyłupiastych oczach i wydatnym nosie. Bez przerwy zacierał dłonie. Mieszkał w sporym pokoju, bardzo wysokim. Dom był tuż przy starych murach i wybudowano go chyba jeszcze w XVIII wieku. Pokój urządzony był dziwacznie. Stare, rozpadające się, ohydne meble sąsiadowały z prawdziwymi dziełami sztuki. Nad kanapą nieokreślonego koloru, z której wylaziły pordzewiałe sprężyny, wisiał przepiękny pejzaż Chełmońskiego, na odrapanej komodzie stała zapierająca dech w piersiach alabastrowa statuetka tancerki.

Pierwszy wiek po Chrystusie, wykopaliska z Pompei — z dumą w głosie objaśnił Koński.

Oficjalnym celem naszej wizyty była sprawa Gara. Koński nie wydawał się być tym przejęty. Kręcił tylko głową, gdy opowiadałem, co zastaliśmy w jego willi. Interesowało go bardzo, czy czasem wesołe towarzystwo nie poniszczyło mu mebli. Potwierdził podane przez Gara szczegóły

wynajęcia willi. Z szafy zdjął zakurzone tekturowe pudło pełne papierów. Z pewnym trudem odnalazł wśród nich umowę dzierżawy, którą spisał z Garem. Wpychał ją nam na siłę, ale ten papier nie był nam na nic potrzebny. Wyrzekął trochę, że musi jechać do Biecza, aby zająć się willą i zainstalować tam nowych lokatorów. Martwił się, że trudno będzie znaleźć kogoś, kto tak chętnie zapłaci z góry — jak Gar. Słuchałem tego uprzejmie, ale nawet nie udawałem, że mnie interesuje.

Wreszcie przeszedłem do sprawy Misia.

— O tak, pana Misia pamiętam bardzo dobrze. To był bardzo sympatyczny człowiek — żywo odparł Koński. — Do dziś nie mogę zrozumieć, czemu popełnił samobójstwo. Był nappawdę wspaniałym znawcą renesansu włoskiego i francuskiego rococo. Może najwybitniejszym w Polsce! Mógł żyć jeszcze długo, nigdy nie narzekał na zdrowie. Nie to co ja...

I zginąć śmiercią samobójczą? Naprawdę nie wiem, co go do tego popchnęło. Skarżył mi się wprawdzie parokroć, że źle układają mu się stosunki z rodziną u której mieszkał. Podobno traktowano go tam strasznie i wszelkimi sposobami wyciągano od niego pieniądze.

— Bo ja wiem? — powiedziałem. — Płacił tylko 500 zł miesięcznie. Jak na tak zamożnego człowieka, jakim był Miś, nie był to wydatek zbyt wielki.

— Pan chyba żartuje! — wykrzyknął Koński. — Nie wierzę, że stary Miś płacił im 500 zł. Raczej 5 tysięcy. — Urwał

i zatarł ręce. Coś błysnęło mu w oku. — A może i nie płacił —

powiedział. — Ten Miś nie był wcale bogaty. Forsy to on nie miał, na pewno.

— Ale miał za to wiele cennych eksponatów, które można było sprzedać za grube pieniądze — wtrącił się do rozmowy Jerzy.

— Co też pan powiada! — zainteresował się Koński. — Co on mógł mieć za skarby, ten Miś! — Poderwał się ze starego fotela, podbiegł do obrazu na ścianie. — Niech pan popatrzy i podziwia. To jest prawdziwy Watteau. Niech pan mi powie: ile prawdziwych jest w Polsce? Może pięć, może dziesięć. A ten stary Koński jednego ma. A co mógł mieć Miś? Niech mi pan powie, bo ja naprawdę nie wiem.

Uśmiechnąłem się.

— Miał, miał i to sporo. Na przykład miał Madonnę z Dzieciątkiem Michała Anioła. Nie mówił panu o tym?

Koński z rozmachem usiadł na fotelu. — A to historia, ja chyba umrę ze śmiechu. Michał to to może był, ale nie Anioł.

Raczej pacykarz. Czy pan myśli, że to był oryginał?

— A skąd pan wie, że to była kopia?

Koński przestał się śmiać.

— Mnie Miś tego nie pokazywał. Opowiadał coś, ale ja nie wierzyłem. Skąd u takiego Misia oryginalny Michał Anioł?

Panie, w Galerii Watykańskiej mają takie obrazy, ale skromny kolekcjoner na Mokotowie mieć nie może. Ja to panu mówię, a ja się na tym znam!

— A może jednak Miś posiadał oryginał? On się ostatecznie też na tym znał.

Koński znów się zaczął śmiać.

— Panie, niech pan się spyta Gara. Ale pan już pewnie o tym wie, że siostrzenica Misia znalazła ten obraz i Gar go od niej kupił. To było dwa lata temu. Gar pokazał mi ten obraz. Proszę popatrzeć na tę komodę: dzieło Chippendala to to nie jest.

Każdy to powie, jak tylko spojrzy. Tak samo było z obrazem Misia. A dlaczego on mówił, że to jest oryginał, tego ja nie wiem. Może chciał stworzyć legendę, czekał na jelenia.

— Z tym rzekomym Michałem Aniołem ma pan rację. To nieudolna kopia.

Ale obaj wiemy, że Miś miał naprawdę cenne rzeczy.

Koński zaczął kręcić głową.

Otworzyłem teczkę i wyjąłem list Końskiego do Misia z 18

stycznia 1963 r. — Pamięta pan ten list? — spytałem.

Wziął go do ręki. — Oczywiście! To był chyba ostatni list, który napisałem do Misia. Znaleźliście ich chyba u niego więcej.

Pominałem to milczeniem, ale Koński nie czekał na odpowiedź, bo ciągnął dalej: — Mnie już ten list pokazywali panowie zaraz po śmierci Misia. Tak, to ja go pisałem. Ale chyba ten list nie stał się powodem samobójstwa?

— Nam chodzi o coś innego — włączył się Jerzy. — Pan tutaj pisze o eksponatach tak drogich, że przekraczają możliwości finansowe nawet instytucji państwowych. Co takiego drogiego chciał sprzedać Miś?

— Co drogiego? — zaperzył się Koński. — To pan nie wie, że u nas wszystko jest drogie i jeszcze drożeje? Tylko pieniądź coraz tańszy. Ja już wtedy, jak mnie panowie z milicji pytali, wszystko dokładnie wyjaśniłem. Miś mi dał do sprzedaży pięć portretów Rodakowskiego. Rodakowski teraz w modzie, ale mnie się to nie podobało. Nie pamiętam już, ile Miś chciał od sztuki. W każdym razie bardzo drogo. Popatrzcie panowie na tę komodę. Kto zapłaci za nią 20 tysięcy złotych? Gdybym ja za tę komodę tyle żądał, to czy nie przerastałoby to możliwości osób prywatnych, a nawet instytucji państwowych? Miś chciał co najmniej dwa razy za drogo. Dał mi wówczas jeszcze dwie akwarele Kossaka. Jakieś konie. Ja Kossaka też nie lubię, ale to towar chodliwy, bo Polacy lubią wieszać takie patriotyczne malunki na ścianie. Tylko Miś znowu chciał strasznie drogo. Pamiętam, zaniósłem to nawet do Muzeum, chcieli tam kupić, ale dawali połowę ceny Misia. Odebrałem i odniosłem mu do domu. Jak mi się zdaje, to Kossaka zdążył przed śmiercią komuś wetknąć. Co z Rodakowskim się stało, nie wiem.

Popatrzyliśmy z Jerzym na siebie.

— Rodakowski Rodakowskim, ale Miś dał panu wtedy coś więcej do sprzedaży — powiedziałem.

— No, proszę sobie przypomnieć.

To było bardziej cenne, prawda?

— Co za pomysł! Jak pan lepiej ode mnie wie, co Miś dał mi do sprzedaży, to niech pan to wytłumaczy temu drugiemu panu, a nie mnie! Ja nic o tym nie wiem.

Jerzy strzelił na ślepo.

— A ten Watteau?

Koński aż podskoczył na fotelu.

— Panie, co pan też za głupstwa opowiada? Ja to kupiłem zaraz po wojnie. Jeszcze wtedy Misia nie znałem. To była własność hrabiego Goczałkiewicza z Przy- stałowie. Ja hrabiego znałem jeszcze sprzed wojny. W tej branży ja już czterdzieści lat pracuję, dopiero teraz zrobiłem sobie emeryturę. Hrabiemu Goczał- kiewiczowi przed wojną wynalazłem parę ciekawych eksponatów. Przy nim dobrze można było zarobić. Kochał obrazy, ale się na nich nie znał nic a nic. Lipy jednak nie kupił. Jak nie miał świadectw trzech ekspertów, w ogóle nie chciał gadać.

To był pan całą gębą.

Koński wyciągnął chustkę i otarł spoconą łysinę.

— Jak w 1945 roku za wojskiem do kraju wróciłem, zatrzymałem się w Łodzi. I tam na Piotrkowskiej kogo ja widzę? Hrabia Goczałkiewicz idzie. Rozparcelowaliśmy go właśnie, ale miny nie stracił. Jak mu zacząłem kondolencje składać, że taki piękny majątek mu zabrali, poklepał mnie

tylko po ramieniu i mówi: — Co ty się, Koński, za mnie martwisz? Czy ty wiesz, ile miałem z tym majątkiem kłopotów? Wszyscy tylko kradli, a to podatki, a to niskie ceny za zboże, a to susza, a to mokro. Człowiek miał wieczne zgryzoty.

Zostało mi jeszcze coś niecoś, mnie do śmierci starczy, a i wnuki pracować na chleb nie będą musiały!

— I on panu sprzedał ten obraz Watteau? — z powątpiewaniem w głosie zapytał Jerzy.

— A dlaczego miał nie sprzedać? — irytował się Koński. — To było tak.

Pan hrabia kazał mi przyjść do siebie do mieszkania. Ładne było, nie powiem, ale to nie był pałac w Przysławowicach.

Ściany szczelnie zawieszono obrazami, które wywiózł z Przysławowic. Wyglądało to jak w antykwariacie. A te obrazy, które się na ścianach nie zmieściły, leżały w piwnicy. Pan hrabia mi mówił: Wybierz sobie, Koński, co ci się podoba, to ci sprzedam. Jak nie masz pieniędzy, zapłacisz później. No i wybrałem! Ten obraz kupuję — mówię do hrabiego. A on na to: ile płacisz? — 1000 złotych proszę jaśnie pana hrabiego. Wtedy on do mnie: — Jak ty mi dajesz 1000, to znaczy, że on jest wart trzy. Zapłacisz mi dwa tysiące. Wtedy nabyłem właśnie tego Watteau! Miś go nawet nigdy w życiu nie widział.

Popatrzyłem smutnie na Jerzego. Wszystko wskazywało, że nowa koncepcja też była diabła warta. Jeśli nawet Miś zostawił coś cennego Końskiemu do sprzedaży, to ten i tak się nie przyzna.

A ponadto Koński nie wyglądał na człowieka, który gotów byłby kogoś zabić.

Pożegnaliśmy się. Pociąg do Warszawy mieliśmy za godzinę. W

milczeniu pospacerowaliśmy trochę po Krakowie. W przedziale Jerzy wcisnął się w kąt, przykrył płaszczem. Ani on, ani ja nie mieliśmy ochoty na rozmowę.

Waldek wysłuchał naszej relacji spokojnie. — No to co, że on nie wyglądał na mordercę? — powiedział. — Pozory mogą mylić.

Moim zdaniem, z tego tropu nie należy rezygnować.

Zgodziliśmy się z nim. Aby jednak pchnąć sprawę w tym kierunku, musieliśmy wiedzieć znacznie więcej o transakcjach łączących Końskiego z Misiem. Inaczej trudno było zrobić krok naprzód.

— Ja jeszcze przeglądałem akta — mówił Waldek. — Myślę, że teraz warto sprawdzić trop Borowika. Pamiętajcie o tej jego wizycie?

— Pamiętamy — powiedział Jerzy. — Wtedy, w dzień śmierci Misia, kiedy Borowik podobno był na Koneckiej, ale domownicy zaprzeczyli temu stanowczo.

Wizytę u Borowika postanowiłem staranniej przygotować.

Najpierw wybrałem się do Małaszewiczowej. Była zdziwiona.

— Myślałam, że po wyjaśnieniu sprawy tego obrazu, który znalazłam i sprzedałam Garowi, milicja straci zainteresowanie dla całej sprawy.

Postanowiłem zamieszać jej nieco w głowie.

— Pani myśli, że nas interesuje śmierć pani wujka? —

powiedziałem. — To stara sprawa i dawno umorzona. Ja prowadzę sprawę Gara. Nie chodzi o obrazy, to tylko przy okazji. Gar został przez nas zatrzymany, on był szefem bandy przemytniczej. Interesują mnie ludzie, z którymi się spotykał.

Dziewczyna była zaniepokojona.

— Ja się z nim widziałam tylko dwa czy trzy razy z okazji sprzedaży tego obrazu. Poza tym nie mieliśmy żadnych kontaktów. Nic nie wiem na jego temat...

Uśmiechnąłem się. — Proszę się nie obawiać. Nie podejrzewam pani o udział w gangu przemytniczym. Po prostu Gar znał kilka osób spośród znajomych pani wujka. Chciałbym do nich

dotrzeć.

Małaszewiczowa miała niezdecydowaną minę.

— Myśli pan, że ja wiem, kogo ze znajomych wujka znał Gar?

Widziałam go kiedyś u nas, a ponieważ ma charak terystyczny wygląd, poznałam go potem w kawiarni. Z kim się znał bliżej, nie wiem.

— Wcale od pani nie wymagam odpowiedzi na takie pytanie. Po prostu mówiła pani, że jeszcze po śmierci wuja spotykała się pani z niektórymi jego znajomymi i sprzedawała im książki, które pozostały po panu Misiu. Może ci ludzie znają Gara?

Chciałbym od nich dotrzeć...

— Kiedy ja nie bardzo znam adresy.

— To nie szkodzi. Przypomina pani sobie, że wuj pozostawił kartkę, na której wypisał, jakie książki komu trzeba oddać.

Mam tę kartkę przy sobie. Jest tutaj mowa o książkach jakiejś pani Roźniakowskiej. A tutaj niżej o panu Borowiku. Czy im pani sprzedawała książki?

Bożena była nieco zmieszana.

— Nie miałam z tymi książkami co robić. Musiałam je sprzedać.

— Oczywiście, oczywiście. Po śmierci pani wujka i rodziców to były pani książki. Ale komu je pani sprzedawała? Na przykład: czy pan Borowik coś kupił?

Dziewczyna była nadal zmieszana.

— Tak, pan Borowik kupił parę książek. Przychodził tutaj i wybierał sobie. Ale pan Polanowski, taki znajomy wujka z Łodzi, kupił znacznie więcej. Również pan Kupść kupił dużo więcej. A resztę sprzedawałam przez antykwariat na Świętokrzyskiej.

Chwilę jeszcze porozmawialiśmy. Wieczorem spotkaliśmy się z Waldkiem i Jerzym. Opowiedziałem im o rezultatach wizyty u Małaszewiczowej.

— Borowik kupował u niej książki po Misiu. Odnoszę wrażenie, że oni znają się lepiej, niżby Małaszewiczowa chciała się przyznać. Dlatego zrezygnowałem z wypytywania jej, czy Borowik na pewno nie odwiedził Misia w dniu jego śmierci. Odnoszę wrażenie, że zasłoniła by się brakiem pamięci. To jej stare zeznanie w aktach musj, wystarczy.

— Kiedy go odwiedzimy? — zapytał Jerzy.

— Choćby jutro — odparłem.

Waldek miał nowe koncepcje.

— Ślęczę i ślęczę nad tymi aktami. Do tej pory nie przeprowadziliśmy jeszcze dokładnej analizy wniosków wynikających z obrażeń, które poniósł Miś. Myślałem nad tym trochę.

— No i co?

— Facet miał ranę kłutą lewego łokcia. Ostre narzędzie przebiło rękaw marynarki. Ponadto miał złamane żebra po lewej stronie. No i skaleczony lewy nadgarstek.

— A od wewnętrznej strony osiemnaście ran ciętych —

uzupełnił Jerzy. — Oni chcieli Misia do czegoś zmusić, a on zasłonił się lewą ręką i stąd ta kłuta rana łokcia, która powstała przez jesionkę. To był chyba cios nożem.

— A może tym nożem grozili mu

i uderzyli, bo nie chciał wejść z nimi tam, gdzie go zaprowadzili? To mogło równie dobrze chodzić o samochód czy mieszkanie, może jakąś szopę — powiedziałem.

— Szopa odpada — zaoponował Jerzy. — Pamiętaj, że był luty.

Misia wprowadzili do ogrzanego pomieszczenia. Tam zdjął

jesionkę, a może i marynarkę. Wtedy grozili mu podcięciem żył.

Stąd te rany nadgarstka. Wtedy jeszcze nie chcieli go zamordować, a jedynie grozili śmiercią. Myślę, że ich groźby poskutkowały.

— Możemy przyjąć takie założenie, ale to jest tylko hipoteza. I tak w pewnym momencie postanowili go zamordować.

To znaczy zapewne od początku to planowali. Miś znał przecież sprawców, osoby całkiem nieznane nie wyciągnęłyby go z domu.

Musiał więc zginąć. Innego wyjścia nie było.

Jerzy zapalił papierosa.

— I co dalej? — zapytał.

— Być może wtedy go ogłuszyli i wsadzili do samochodu.

Kazali Misiowi kucnąć na podłodze między przednim a tylnym siedzeniem. Obejmował wtedy rękoma kolana. Ciężkie rany na wewnętrznej stronie lewego nadgarstka krwawiły, stąd ślad na spodniach. Wsadzili go więc do samochodu i zawieźli pod Otwock. Nie stwierdzono jednak, aby tamtą drogą przejeżdżał

krytycznego dnia jakiś wóz. To boczna trasa, ruch jest niewielki, obcy samochód zostałby dostrzeżony przez wiele ludzi. Z tego chyba wniosek, że jechali o samym zmierzchu.

Wtedy najtrudniej zobaczyć przejeżdżający samochód. Gdy jest już ciemno, wóz ma zapalone reflektory. O samym zmierzchu nie.

— A może jednak dowieźli go pociągiem i wyrzucili?

— Myślicie, że na stacji Miś nie zacząłby wzywać pomocy?

Można nawet założyć, że pociąg jechał pusty i ukryli go na przykład w ubikacji. Ale na stacji zawsze jest ktoś. To było dla nich zbyt wielkie ryzyko.

— Dobrze, więc wieźli go samochodem. Tor kolejowy od głównej szosy odległy jest o jakieś 8 kilometrów. To mniej więcej 10

minut jazdy. Ten odcinek przebyli o samym zmierzchu. Przy przejeździe kolejowym zatrzymali samochód. Wtedy zadali Misiowi śmiertelną ranę. Po prostu czymś ciężkim uderzyli go w tył głowy. Ofiara straciła przytomność. Wywlekli ją wtedy z samochodu...

— Chwileczkę. Zakładasz, że sprawców musiało być dwóch?

— Musiało być dwóch. Pomyśl: jeden prowadził samochód, drugi był niezbędny, aby pilnować Misia. Musiał siedzieć obok niego na tylnym siedzeniu. Hipoteza, że Miś był związany, odpada, bo inaczej obdukcja lekarska znalazłaby ślady więzów.

— A jeśli przewożono go nieprzytomnego?

— To też nie da się uzasadnić. Człowiek nieprzytomny ma ręce zwieszane bezwładnie. Miś natomiast musiał się trzymać za kolana, jak świadczą ślady krwi.

— Zgoda. Wywlekli go z samochodu i zaciągnęli w bok, w pobliże toru. Wtedy powstały otarcia czubka nosa i kątów czołowych. Dlaczego go jednak nie nieśli?

— Nie wiem. Być może obaj sprawcy nie byli zbyt mocni fizycznie. Albo też jeden ciągnął, a drugi odjechał natychmiast samochodem i stanął gdzieś dalej. Pamiętaj, że samochód na tej drodze zwraca uwagę. Mógł nadejść ktoś przypadkowo.

Bali się, aby w pobliżu miejsca, gdzie prędzej czy później zostaną znalezione zwłoki, nikt nie widział samochodu. Dlatego wóz odjechał. Natomiast ten sprawca, który włókł ofiarę w przypadku pojawienia się jakiegoś przechodnia pozostawiał

Misia i krył się w lesie.

— Ta hipoteza jest prawdopodobna. Warto zastanowić się jeszcze nad jednym. Zmierzch był około godziny 16.00. Droga z Warszawy zajęła im najwyżej półtorej godziny czasu, a i to w tym wypadku, gdyby celowo kluczyli. Sam Miś wyszedł z domu później niż o szóstej rano, ale chyba przed ósmą. Nie ustalono, o której obudziła się Małaszewiczowa. Orientacyjnie przyjmijmy godzinę wyjścia Misia z domu na 7.00 rano. Do zmierzchu będzie więc dziewięć godzin, a odliczając czas na przejazd samochodem za miasto pozostaje co najmniej siedem godzin. W tym czasie Miś był w rękach sprawców. Co się z nim działo przez tyle godzin?

— Może czekali do zmierzchu, żeby za wcześnie nie być na miejscu?

— Bardzo możliwe. Ja mam jednak inną hipotezę. Miś został zmuszony do powiedzenia czegoś, co sprawcy chcieli sprawdzić.

Na przykład, gdzie ma ukry

te pieniądze czy też kosztowności. Gdy wydobyli już od niego tę informację, jeden ze sprawców pozostał z Misiem, a drugi pojechał po łup. Miś jeszcze potrzebny był im żywy. Bo może powiedział nieprawdę. Wtedy by go torturowano na nowo. Musiał

powiedzieć prawdę. Zabrali łup, a na ofiarę wyrok śmierci był już wydany.

— Ta hipoteza rzuca szczególne światło na wizytę Borowika o godzinie 12.00 w mieszkaniu na Koneckiej. Czyżby on był

sprawcą? Wiedział już, że ciało Misia zostanie porzucone poza miastem i dlatego chciał sobie zrobić alibi obecności w Warszawie.

— Nie można tego wykluczyć. Pamiętajcie jednak, że to tylko Borowik mówi, że odwiedził tego dnia Misia. Nikt tej wizyty nie potwierdza...

— Czy Borowik miał samochód?

— To będzie trzeba dopiero ustalić, kto w ogóle miał samochód. Miejmy nadzieję, że tych zmotoryzowanych znajomych Miś nie miał zbyt wiele.

Jerzy tarł w zamyśleniu podbródek:

— Ta hipoteza przebiegu zbrodni trzyma się kupy. Mnie ciągle jednak dręczy pytanie: co to był za łup? I dlaczego Miś nie trzymał go w domu. I gdzie go w ogóle mógł trzymać?

— Z naszej hipotezy wynika jeszcze jeden wniosek. Rzecz, na której zależało mordercom, musiała być w posiadaniu ofiary. To znaczy, że przyczyną zbrodni nie były przedmioty czy obrazy, które Miś dał do sprzedaży Końskiemu.

— Wniosek jest logiczny — powiedziałem. — Oczywiście, jeżeli nasza hipoteza przebiegu zabójstwa jest we wszystkich szczegółach prawidłowa. Żebyśmy jeszcze wiedzieli, co Miś chciał napisać w tym nieczytelnym liście, dlaczego go skłoniono do wyjścia z domu w tak tajemniczych okolicznościach, dlaczego pozostawił laskę, z którą się nigdy nie rozstawał i dlaczego pozostawił dowód osobisty?

—

Bo chyba ofierze nie zależało na tym, aby nie można było ustalić jej tożsamości? — zapytał Waldek. — Jak sądzicie, w jakim wypadku mogłoby mu na tym zależeć?

XI

Wojciech Borowik mieszkał w standardowym mieszkaniu M-2 przy ulicy Puławskiej. Wnętrze nie zdradzało, że mamy do czynienia z kolekcjonerem. Niewielkie, nowoczesne mebelki, na ścianach tylko jakieś dwie fotografie. Jedynie regał, wypełniony książkami, odsłaniał nieco zainteresowania właściciela.

Gospodarz powitał nas niezbyt chętnie, a nawet wręcz nieuprzejmie. Nazwiska Gara w ogóle nie

znał, zapytany o Misia

— odpowiadał monosylabami.

—

Znał pan Misia?

—

Tak.

—

Dobrze?

—

Nie.

—

Panowie znali się długo?

—

Tak sobie.

—

Rok, dwa, dłużej?

—

Dłużej.

—

A więc dość długo?

—

Dość.

—

Zna pan okoliczności jego śmierci?

—

Skąd?

—

Nic pan nie wie na ten temat?

—

Niewiele.

—

A co?

—

Popełnił samobójstwo.

Dalsze kontynuowanie takiego dialogu nie miało sensu.

Zapytałem więc Borowika, czy przypadkiem nie zapomniał, w jakim charakterze go pytamy. Wtedy stał się grzeczniejszy, poprosił, abyśmy usiedli. Zaczął też mówić nieco więcej.

Znajomość z Misiem sprowadzała się, według jego słów, do wspólnych zainteresowań bibliofilskich. Wymieniano od czasu do czasu książki. Borowik podkreślał stanowczo, że były to wymiany bezgotówkowe.

— Miś nigdy nie kupował od pana książek za pieniądze? —
spytałem.

— Nigdy.

— A może panu sprzedawał za pieniądze?

— Nie, nie sprzedawał mi żadnych książek. Robiliśmy wyłącznie wymiany bezgotówkowe.

— A obrazy? Czy je też wymienialiście bezgotówkowo?

— Nie wymienialiśmy żadnych obrazów — obruszył się Borowik.

— To może pan kupował je od niego albo mu je sprzedawał?

— Nigdy nie kupowałem ani nie sprzedawałem obrazów Misiowi — stanowczo zaprzeczył aktor.

Otworzyłem teczkę i wyciągnąłem zakwestionowaną w mieszkaniu Misia kartkę z dyspozycjami dla rodziny. — Jak więc pan wobec tego wytłumaczy, że Miś na kilka godzin przed samobójczą śmiercią sporządził notatkę, że jest panu winien pieniądze, których kwotę wyszczególnia? Ponadto zmarły zapisał, że pan posiada różne jego obrazy, a mianowicie: Wiarusa, końskie łebki, kościół świętego Aleksandra, portret Tadeusza Kościuszki.

— Ja nic nie wiem — zaprzeczył Borowik. — Widocznie się coś staremu poplątało przed śmiercią. Nie był mi winien żadnych pieniędzy, a tylko parę książek z wymiany. Nie miałem też od niego żadnych obrazów.

— Na pewno?

— Oczywiście! Zresztą panowie sami widzą najlepiej, że nie mam w mieszkaniu ani jednego obrazu.

Uśmiechnąłem się.

— Widzimy. Ale może pana zainteresuje, gdzie wiszą te akwarele Juliusza Kossaka, przedstawiające łby końskie? Ich obecny właściciel nie miał żadnego powodu, aby ukrywać, od kogo kupił.

Strzeliłem na ślepo, ale trafiłem w dziesiątkę. Aktor zaczerwienił się.

— Panowie byli u państwa Maliszewskich? — zapytał.

Nie odpowiedziałem. Zastanawiałem się, dlaczego Borowik kłamał. Przecież sprzedanie od czasu do czasu jakiegoś obrazu nie jest karalne, nie ma w tym nic hańbiącego.

Borowik był bardzo zmieszany.

— Rzeczywiście muszę się przyznać, że kiedyś kupiłem te dwie akwarele i odstąpiłem je potem Maliszewskim. To jest prawda, ale nie chcę, aby ktoś o tym wiedział.

Wydało mi się, że rozumiem, o co chodzi. Uśmiechnąłem się do niego.

— Kiedy pan się ostatni raz widział z panią Bożeną?

Był już zupełnie czerwony.

— Nie bardzo rozumiem, o czym pan mówi — powiedział. Ale, ale, może panowie napijecie się herbaty.

— Czyżby uważał pan, że chodzenie do kawiarni z tak przystojną kobietą jak pani Bożena Małaszewicz jest przestępstwem? Oboje jesteście wolni, możecie robić, co wam się podoba. Nie sądzę, aby ktoś inny, na przykład jakaś starsza pani, mogła mieć o to pretensję.

Aktor był bardzo czerwony, przez chwilę milczał. Wreszcie uspokoił się.

— Właściwie nie rozumiem, do czego pan zmierza — powiedział

zaczepnym tonem. — Rzeczywiście, znam panią Małaszewicz i nieraz spotykamy się w kawiarniach. Przed nikim nie muszę tego ukrywać ani tłumaczyć się. Czy to ma jakikolwiek związek z prowadzonym przez pana dochodzeniem?

Roześmiałem się głośno.

— Widzi pan, panie Wojtku — powiedziałem poufale — to tylko tłumaczy, dlaczego pan nam poprzednio skłamał. Mogę to panu wyjaśnić: po śmierci Misia pozostało kilka jego obrazów o łącznej wartości kilku tysięcy złotych. Nikt o tym nie wiedział. Wprawdzie Miś zostawił kartkę, ale rodzina była zaszokowana jego zniknięciem i przejrżeli tę notatkę pośpiesznie. Potem kartkę zabrała

milicja. Do pana nikt się nie zgłaszał po zwrot obrazów. Sprzedał je pan na własny rachunek. Upłynęło kilka lat

I skontaktowała się z panem Małaszewiczową, proponując kupno pozostałych po Misiu książek. Poprzednio nie znaliście się praktycznie, a teraz zbliżyliście się do siebie. Pan się bardzo boi, żeby Bożena nie dowiedziała się, że pan zagarnął

obrazy, za które im się należały pieniądze. Ale przed nami nie ma co kłamać. Nie musi pan też ukrywać, że pan od dawna handluje obrazami, książkami i innymi podobnymi rzeczami.

Aktor znów stał się pokorny.

— Czy mówił pan o tych obrazach Bożenie, to znaczy pani Małaszewicz?

— Nie. I na razie nie widzę potrzeby, żeby jej mówić. Myślę, że potrafi pan załatwić tę sprawę we własnym zakresie.

Borowik zerwał się z fotelika.

— Ja mam jeszcze trochę książek po Misiu, ale kupiłem je już od pani Małaszewiczowej. Proszę, może panowie obejrzą — podszedł do regałów.

Jerzy zainteresował się. — Które to?

Aktor pokazywał. Znać było, że chce zatrzeć poprzednie niemiłe wrażenie. Majski wziął kilka tomów do ręki.

— Chodź no i zobacz — powiedział w pewnej chwili.

Wstałem niezbyt chętnie. Jerzy trzymał w ręku jakieś włoskie wydawnictwo. — Tu jest cała kolekcja, bardzo interesujące.

— Nie wiedziałem, że pan się interesuje renesansem włoskim — paplał

aktor. — Rzeczywiście, tych książek Miś zgromadził sporo. Tu jest ponad trzydzieści tomów poświęconych wyłącznie Michałowi Aniołowi. Rzadko która biblioteka może się pochwalić takim zestawem. Zdaje mi się, że Miś miał więcej książek z tego zakresu, ale niektóre Bożena sprzedała pojedynczo. On znał

znakomicie kilka obcych języków.

Wziąłem jedną z książek, zacząłem kartkować. Na marginesie dostrzegłem jakieś uwagi ołówkiem.

— Kto to pisał? — spytałem.

— To sam Miś. Wszystkie te książki są popstrzone jego uwagami. Miś był wspaniałym znawcą Michała Anioła...

Odłożyłem książkę na półkę.

— Proszę sobie przypomnieć: przyszedł pan do Misia w dzień jego śmierci, to 2 lutego 1963 roku, kto otworzył panu wówczas drzwi? Pamięta pan?

— Pamiętam. To była pani Małaszewiczowa. Wtedy jej nie znałem. Widziałem ją po raz pierwszy. Poprzednio, ilekroć przychodziłem do Misia, drzwi otwierał mi on sam albo jego szwagier. Pani Małaszewiczowa otworzyła mi po raz pierwszy.

Przyjrzałem mu się uważnie.

— Czy pan na pewno był na Koneckiej właśnie 2 lutego, a nie dzień wcześniej czy później?

— Na pewno. To było tego samego dnia, którego Miś umarł.

Pani Małaszewiczowa to potwierdzi, ona na pewno pamięta, bo przecież tego dnia zginął jej wuj.

Byłem nieco innego zdania. Małaszewiczowa zeznała w kilka dni po śmierci wuja, że ani Borowik, ani nikt inny 2 lutego nie odwiedzał Misia. Chyba nie kłamała, bo i po co?

Inna rzecz, że teraz, zasłaniając się brakiem pamięci — mogła stwierdzić coś innego.

— Czy wyjeżdżał pan tamtego dnia z Warszawy — zapytałem.

Był bardzo zaskoczony. — Nie pamiętam — powiedział. — Ale chyba nie. Raczej na pewno nie.

Bo jeśli byłem w południe u Misia, to kiedyż mógłbym wyjeżdżać?

— Czy ma pan samochód? — indagowałem dalej?

— Mam. Volkswagena 1500.

— Od jak dawna ma pan samochód?

— Volkswagena? Drugi rok.

— Nie, mam na myśli, odkąd w ogóle ma pan samochód?

— Poprzednio miałem wartburga, a przed nim skodę oktawię.

Jeszcze dawniej też wartburga, ale starego typu. Chyba nieprzerwanie od 1959 roku mam jakiś samochód.

Dalszej rozmowy nie było sensu kontynuować. Pożegnaliśmy się z nim i wyszliśmy. Jerzy patrzył na mnie pytająco.

— I co ty o tym wszystkim myślisz?

— Raczej bym faceta wykluczył. Wiesz, co dla mnie przemawia na jego korzyść? To, że facet skłamał z tymi obrazami. To przecież drobiazg. Gdyby miał na sumieniu morderstwo, nie ryzykowałby kłamstw w takich drobnych sprawach, zwłaszcza że podobne kłamstewka łatwo jest wykryć.

Przez chwilę Majski nic nie mówił. Szliśmy w milczeniu.

— Zażyłeś go jednak ładnie, od razu się przyznał i do tych obrazów i do bliższej znajomości z Małaszewiczową. Wiedziałeś coś na ten temat? Może ich widziałeś w kawiarni?

Zaprzeczyłem. — Domyślałem się trochę po rozmowie z Małaszewiczową ale strzelałem na ślepo. Udało się i wyszło.

Majski znów dłuższą chwilę milczał, rozmyślał nad czymś.

— Sądziś, że to ty jego zrobiłeś na szaro? — zapytał. — A może to on ciebie?

— Nie rozumiem.

— Posłuchaj. To jest aktor. W każdym razie skończył szkołę aktorską, bo teraz zdaje się nie gra nigdzie na stałe.

Ale grać potrafi. Zauważyłeś, jak się zmieniał? To był

pokorny, to arogancki, to pewny siebie, to zawstydzony. Takich gierek on ma pod dostatkiem. Nie sądzisz, że on celowo chciał, abyś go złapał na drobnym kłamstwie? Dzięki temu wytworzył w tobie przekonanie, że jeśli pozwala sobie na drobne kłamstwa, to nic wielkiego nie ma do ukrycia. A poza tym jego rzekoma wizyta u Misia 2 lutego nie została wyjaśniona. Wreszcie, facet ma samochód. Ściślej mówiąc, miał go w dniu zabójstwa Misia.

Teraz ja nic nie mówiłem. Milczałem. W uwagach Jerzego było dużo racji. Najgorsze, że wszystko wskazywało na to, że przez cały czas ani na krok nie posunęliśmy się naprzód. Wszystkie znaki zapytania, które można było mieć przy rozpoczynaniu sprawy, istniały nadal. Pierwszy trop, przez obraz, nie doprowadził do niczego. Tropy wiodące w kierunku Końskiego i Borowika też nie dały nam nic. Z niechęcią pomyślałem, że w aktach sprawy odnotowanych jest co najmniej piętnastu znajomych Misia. Jeżeli będziemy szperać, znajdziemy jeszcze dragą piętnastkę. Z każdym trzeba rozmawiać — i być może nie dowiemy się niczego. Może popełniamy błąd przypuszczając, że mordercą jest ktoś z kręgu handlarzy czy kolekcjonerów. Może zabójcą jest znajomy z dawnych lat? Może źródeł zbrodni trzeba szukać w latach okupacji lub przed wojną?

— Nie ma co — powiedziałem. — Jeszcze raz od nowa trzeba wertować akta. A potem jeszcze

raz.

— Sądysz, że jednak tam znajdziemy coś, czego do tej pory nie dostrzegliśmy i co nas naprowadzi na sprawców? Ja te akta już znam prawie na pamięć!

Następnego dnia zajęliśmy się listem, który pozostawił Miś.

W trójkę razem

i każdy oddzielnie staraliśmy się odtworzyć nieczytelne słowa.

A chociażby tylko ich sens.

Była to Syzyfowa robota. Wiedzieliśmy, że przed nami, tuż po śmierci Misia, kupa ludzi starała się zrobić to samo. Bez rezultatu. Czy nam się uda?

Nie udawało się. Wtedy spróbowaliśmy inaczej. Jakkolwiek bardzo niekompletny, list ten można poddać krytycznej analizie. Jeśli nie w całości, to trzeba zbadać, co wynika z jego fragmentów.

Oto chociażby pierwsze zdanie:.. Pomimo tak przekonywających dowodów je- sem... narzucało - się, że Miś chciał napisać: Jestem niewinny. Zresztą wynikało to z dalszych fragmentów tekstu. Splamion nie jestem... nie winien. A dalej: Umierać w takich warunkach i pod takim podejrzeniem. Z tego wszystkiego można było wyprowadzić jeden wniosek: że Miś bał

się, czy też spodziewał, że ktoś w stosunku do niego wysunie wyjątkowo ciężkie zarzuty, które ponadto będą bardzo prawdopodobne. Ale nieprawdziwe. Miś bowiem zapewnia w tym liście o swojej niewinności. Co więcej, pisze o jakiejś perfidii, o tym, że coś jest łajdackie. Ma zapewne na myśli intrygę przeciwko niemu.

Tutaj rodziły się dalsze pytania. Jakie zarzuty mógł ktoś postawić Misiowi? Nie bardzo wiedzieliśmy, jakie czyny były dla Misia szczególnie hańbiące, a jakie nie. Są ludzie, dla których ujawnienie drobnego szwindlu jest nie do zniesienia, a są i tacy, którzy nie przejmą się, jeśli na światło dzienne wyjdzie naprawdę wielkie łotrstwo. Nie wiedzieliśmy, jaki był

naprawdę Miś. Wszyscy uważali go za człowieka skrytego, nie uzewnętrzniającego swoich uczuć. Tym gorzej, ponieważ nam jest przez to trudniej rozgryźć Misia.

Wiedzieliśmy, że w połowie stycznia Miś był silnie zdenerwowany, wspominał siostrze, że go szantażują. Wyjaśnił, że chodzi o obraz Michała Anioła, który rzekomo chce wywieźć na Zachód. Założmy nawet, że tak było, że obraz zo stał przez Misia jakimś kanałem przerzucony za granicę. Czyżby ujawnienie tego faktu było dla Misia tą straszliwą ewentualnością, która przebija z listu? Nieprawdopodobne.

Zwłaszcza że obraz był u niego w mieszkaniu. Musiano go więc szantażować ujawnieniem czegoś

0
wiele bardziej poważnego. Oznaczało to, że próba szantażu, o której wspominał Miś siostrze w połowie stycznia, nie pozostawała w związku przyczynowym z tym listem i tajemniczym zniknięciem starego kolekcjonera.

List nosił wyraźnie charakter pożegnalny. Całuję Was wszystkich i żegnam — pisał Miś. Tutaj nie mogło być wątpliwości. Te pożegnania nosiły charakter szczególny.

Umierać w takich warunkach... A dalej: Jak Wy to przeżyjecie... niech Was Bóg pocieszy.

List miał wyraźnie charakter samobójczy, ale wiedziałem przecież, że Miś nie popełnił samobójstwa, że go zamordowano.

Próbowałem inaczej odczytać zrozumiałe słowa. A może stary kolekcjoner wiedział, że będzie zamordowany? Nie ma w tym żadnego sensu. Nikt nie idzie dobrowolnie na śmierć. Może inaczej: w jakich warunkach człowiek pójdzie dobrowolnie na śmierć? Nie znałem psychiki Misia, nie potrafiłem jej odtworzyć. Na samym końcu listu Miś napisał: Och, Boże, Boże, nie karz ich za to ł... Za łotrstwo? I kogo ma nie karać?

Tych, co go mają zamordować, czy też tych, przez których musi popełnić samobójstwo?

Zastanawiałojeszcejedno. Treść listu 1 charakter pisma wskazywały, że Miś pisał to w stanie krańcowego zdenerwowania. A równocześnie pisał kartkę z dyspozycjami dla rodziny, która była czytelna i w treści nie zdradzała zdenerwowania autora. Wreszcie o 3.15 nad ranem Kałużyński spotkał go przy łazience i Miś nie był wtedy zdenerwowany, w każdym razie szwagier niczego nie dostrzegł. O

6 rano, a więc mniej

wiecej na godzinę przed wyjściem Misia z domu, Kałużyński widział, że szwagier spał spokojnie. Czyżby miał tak żelazne nerwy? W tym wszystkim było absolutnie coś niezrozumiałego.

Wprawdzie list nie miał daty. Może Miś napisał go kiedy indziej, na parę tygodni wcześniej, a krytycznej nocy tylko położył na stole? Jaka mogła być jednak motywacja takiego działania? A może ktoś inny ten list położył. Lecz kto?

Czułem, że mnożąc te znaki zapytania zacznę zastanawiać się, czy to czasem nie Miś spędził ostatnią noc w domu, lecz jego sobowtór czy też osoba ucharakteryzowana na niego. Wierutna bzdura!

A jeśli rodzina ukartowała tak całą historię? Cała rodzina?

Nie wyglądało to prawdopodobnie.

Nie mogłem dojść do żadnych wniosków. Bo nawet te, które łatwo dawały się wyprowadzić z listu, a mianowicie, że Miś spodziewał się jakiegoś straszliwego oskarżenia, spodziewał się śmierci

i zegnał się z rodziną — stały w jaskrawej kolizji ze

.spokojnym zachowaniem się starego kolekcjonera w ostatnich godzinach jego pobytu w mieszkaniu przy ulicy Koneckiej.

XII

Rozwiązanie zagadki, przynajmniej w połowie, przyniósł mi pośmiertny list starego kolekcjonera. Nie ten dramatyczny, trudny do odczytania, ale drugi, zawierający suche dyspozycje.

Ze też nie zwróciłem wcześniej na to uwagi! Miś pamiętał o wszystkich drobiazgach, niemalże o pojedynczych książkach, a pominął milczeniem rzecz, którą uważał

za najcenniejszą: obraz Michała Anioła. Czym można to było wytłumaczyć?

Wizyta u Borowika uświadomiła mi namacalnie, że stary kolekcjoner był nie tylko miłośnikiem, ale i świetnym znawcą malarstwa. Miał obszerną biblioteczkę dzieł poświęconych Michałowi Aniołowi. Jeśli inni eksperci tak łatwo stwierdzili nieautentyczność odnalezioną przez Małaszewiczową Madonny z Dzieciątkiem, to Miś tym bardziej wiedział, że to jest tylko kopia. Dlaczego uparcie twierdził co innego? Koński uważał, że szukał jelenia. Jeśli nawet, to po co tworzył wcześniej legendę? Zresztą kopię za oryginał mógł sprzedawać taki Gar; Misia nie było na to stać.

Rozwiązanie tajemnicy obrazu Michała Anioła teraz narzuciło się samo. A byłem przecież tak bliski tego, gdy Mała szewiczowa zwierzyła się, że odnaleziony w papierach szkic wywarł na niej mniejsze wrażenie niż ten eksponowany przez Misia. Bożena uważała, że to była sprawa tła, że decydował

wiśniowy aksamit. Zrozumiałem, że były dwa obrazy przedstawiające Madonnę z Dzieciątkiem. Jeden — dzieło Michała Anioła. Drugi — nie najlepsza kopia. To wyjaśniało, dlaczego w notatce z dyspozycjami dla rodziny Miś nie wspomina w ogóle o swoim skarbie. Jest oczywiste, że postanowił zabrać go z sobą.

Ale jeżeli tak, to czym wytłumaczyć drugi, dramatyczny list?

Co nastąpiła już nad ranem, że spokojny uprzednio Miś znalazł się w stanie tak bardzo silnego zdenerwowania? Czyżby po godzinie szóstej rano ktoś go odwiedził, a ta wizyta pozostała tajemnicą dla pogrążonej w głębokim śnie rodziny?

Na te pytania odpowiedź należało znaleźć później. Teraz wracam do pierwotnej koncepcji: obraz Michała Anioła wskaże nam mordercę.

Z gotowym planem zwróciłem się do pułkownika. Wysłuchał, jak zwykle milczący. Zgodził się na wznowienie śledz-

stwa, aprobował moje planowane posunięcia. Zażądał tylko zakończenia pracy nad sprawą, którą zlecił poprzednio.

Grzebałem się więc w tym nudziar- stwie, bo w sprawie Misia mogłem na razie tylko czekać. Tak minął tydzień. Pierwsza odpowiedź nadeszła z Wiednia. Za pośrednictwem Komendy Głównej zwróciliśmy się do władz policyjnych kilku krajów z prośbą o ustalenie, czy w ostatnich latach ktoś oferował do sprzedaży szkic Michała Anioła przedstawiający Madonnę z Dzieciątkiem.

Policja wiedeńska stwierdziła, że nie. Ale dwa dni później nadszedł meldunek ze Sztokholmu. Eureka! W jednym z antykwariatów proponowano dostawę tego obrazu. Szwedzi, którzy znali sprawę w generalnych zarysach, zajęli się energicznie.

Okazało się, że obraz oferował niejaki Szymon Potocki, obywatel szwedzki od dwu lat, właściciel okazałego zakładu krawieckiego. Do chwili najzupełniej legalnego wyjazdu z Polski na stałe Potocki pracował w nieco innym zawodzie, a mianowicie był głośnym działaczem frontu kulturalnego. Wizyta szwedzkiej policji wystraszyła go mocno, bo chciał być w absolutnej zgodzie z władzami swej nowej ojczyzny.

Wylegitymował się listem swego znajomego z Warszawy, który prosił o zbadanie możliwości sprzedaży obrazu Michała Anioła w Szwecji. Potocki podkreślał stanowczo, że sama transakcja go w ogóle nie interesowała, dowiadywał się tylko o możliwości sprzedaży i na tym koniec. Sprawa była dość dawna, bo z połowy 1968 roku; jaki miała przebieg dalszy, Potocki już nie wiedział. Warszawskim znajomym, który zwracał się do niego w sprawie Michała Anioła, był Grzegorz Fariaszewicz zamieszkały na Saskiej Kępie przy ulicy Walecznych.

— Jedziemy tam natychmiast — zdecydowałem.

— Nie uważasz, że najpierw lepiej sprawdzić faceta metodycznie? — powiedział Jerzy. — Kto to jest, co robi, z czego żyje, jakich ma znajomych?

Kiwnąłem przecząco głową. — Nie ma czasu. My już trochę zostawiliśmy śladów za sobą, tu i ówdzie dopytujemy się o Misia. Boję się, że sprawca mógłby się o tym dowiedzieć. Trzeba działać błyskawicznie!

Wzięliśmy służbową warszawę i po kwadransie byliśmy na Walecznych. Niewielki dwupiętrowy domek, z przodu mały ogródek. Przy furtce taster z przy ciskami dzwonek i nazwiskami lokatorów. Zamazany nieco napis atramentem informował, że Fariaszewicz zajmuje lokal nr 4. Było to na pierwszym piętrze.

Drzwi od mieszkania otworzył nam mężczyzna w sile wieku, ubrany w domową bonzurkę. Przedstawił się jako Fariaszewicz i był nieco zdziwiony, czego służba kryminalna MO chce od niego.

— Czy pan zna Szymona Potockiego? — zacząłem go indagować.

— Potockiego? — zastanowił się. — Nazwisko nikomu z nas nie jest obce, ale nie kojarzę z konkretną osobą.

Postanowiłem pomóc jego pamięci.

— Chodzi mi o pana Potockiego ze Sztokholmu...

— Nigdy nie byłem w Szwecji — z wahaniem w głosie mówił

mężczyzna. — Nie wiem w ogóle, czy mam tam jakichś znajomych.

— Pan Potocki wyjechał z Polski na stałe w 1967 roku —

pomagałem jego pamięci. — Z tego co wiemy, wyjechał zresztą nie do Szwecji.

W oczach mężczyzny zaświecił błysk zrozumienia.

— Zaraz, zaraz — powiedział. — Czy to był może ten krytyk literacki?

Milczałem.

Fariaszewicz był bardzo ożywiony.

— Ach, teraz już wiem doskonale, o kogo chodzi! Obawiam się jednak, że niewiele będę mógł

panom pomóc. Ja

zajmuję się elektroniką i nie mam znajomości w świecie artystycznym. Potocki był znajomym mojego nieboszczyka ojca.

Myślałem, że podskoczę na krześle.

— A więc Grzegorz Fariaszewicz to pański ojciec?

— Ja mam na imię Kazimierz. Ojciec zmarł w październiku ubiegłego roku.

Tak bliskie rozwiązanie zagadki znowu się odwlekało. Na szczęście papiery po zmarłym Fariaszewiczu zachowały się w porządku. Sympatyczny elektronik pomagał nam, jak mógł. Dwa dni spędziliśmy w jego mieszkaniu wyszukując wszelkie możliwe papierki po ojcu i przeglądając je. Te wysiłki dały pewien rezultat. Stary Fariaszewicz był człowiekiem niezmiernie skrupulatnym. Zachował się brudnopis listu, w którym wprowadzał poprawki stylistyczne i zapewne przepisany na czysto wysłał do adresata. List był krótki: Szanowny Panie! Zgodnie z wolą Szanownego Pana porozumiałem się już z panem Potockim w Sztokholmie, przedstawiając mu rzecz całą. Na razie nie mam odpowiedzi. Pewien jednak jestem, znając uczynność pana Potockiego, że sprawa jest w dobrym ręku. Rzecz jasna, powiadomiłem go o obietnicy Szanownego Pana, że otrzyma dziesięć procent od udanej transakcji.

Natychmiast po otrzymaniu wiadomości ze Sztokholmu pośpieszę zawiadomić o tym pana. Kreślę się z wyrazami szacunku.

List nie był podpisany, ale syn bez trudu zidentyfikował

charakter ojca. Wyjaśniało to, że stary Fariaszewicz był

mimowolnym pośrednikiem. Szkic Michała Anioła znajdował się w innym ręku.

Natrafiliśmy na kartkę, która przybliżała nas o dalszy krok do celu. Jej treść była również lapidarna. Tekst był napisany na maszynie. Brzmiał on:

Drogi panie! Cieszy mnie ta wiadomość, którą pan mi przekazał ze Sztokholmu. Zastrzeżenia naszego znajomego są pozbawione podstaw. To jest obraz prawdziwy. Oczywiście, sprawa transportu nie jest rzeczą łatwą, ale o to niech już go głowa nie boli. Proszę go powiadomić, aby sprawę utrzymywał w toku. Szybka realizacja nie jest konieczna. Sicher ist sicher, te głupie przepisy przeszkadzają. Jeśli nawet do transakcji dojdzie za rok, nie stanie się nic złego. Kupiec co najwyżej nabierze większego apetytu.

List nie miał daty, podpisany był jakimś zygzakiem. Mimo usiłowań, nie potrafiłem odcyfrować ani jednej litery.

Teraz rozpoczęła się znużająca praca. Mieliśmy już autograf posiadacza szkicu Michała Anioła, Teraz tylko trzeba go było zidentyfikować. Miałem nadzieję, że być może poszukiwana przez nas osoba była przesłuchiwana w śledztwie. Jeśli tak, ustalenie, czyj to był podpis byłoby dziecinnie łatwe.

Niestety. Ani takiego podpisu, ani podpisu podobnego nie znalazłem na żadnym z protokołów przesłuchań świadków. Oficerowie dochodzeniowi, którzy prowadzili przesłuchania, domagali się

zresztą najwyraźniej czytelnego podpisywania protokołów. Nie zmieniło to faktu, że żaden z podpisów w niczym nie przypominał tego zygzaka, który był na liście do Fariaszewicza.

Uruchomiliśmy służbę operacyjną. Chłopaki szukali autografów wszystkich osób, które choćby luźno przewinęły się przez śledztwo. Nie było jednak rezultatów. Utwierdziłem się w przekonaniu, że nazwisko obecnego posiadacza szkicu Michała Anioła, a zarazem przypuszczalnego mordercy, ani razu nie pojawiło się w aktach sprawy.

Jerzy miał początkowo wątpliwości. — Upłynęło kilka lat, czy facetowi nie mógł się zmienić charakter pisma? Ja na przykład podpisywałem się w młodości inaczej, a teraz zupełnie inaczej — demonstrował swój stary i nowy podpis.

Waldek kręcił głową. — Rzeczywiście, teraz podpisujesz się inaczej. Ale ogólny, że tak powiem, nastrój pisma pozostał ten sam. W każdym razie zbieżności są wyraźne. A między tym zygzakiem a wszystkimi innymi podpisami nie ma w ogóle związku.

Żmudna robota nie dawała wyniku. Krok po kroku sprawdzaliśmy każdy szczegół tamtego dochodzenia, szukaliśmy potwierdzenia, staraliśmy się wyjaśniać każdą lukę i znak zapytania. Nie wszystko się udawało, ale pewne zagadki zostały rozwiązane. Na przykład sprawa pięciu szkiców Rodakowskiego. Okazało się, że na niespełna tydzień przed śmiercią Miś wysłał je do Pomiana do Waśniewic. Ten odwrotną pocztą przekazał umówioną cenę.

Małaszewiczowa potwierdziła, że rzeczywiście, w dzień czy dwa dni po śmierci jej wujka, nadszedł przekaz pieniężny z Waśniewic. W ten sposób wyjaśnione zresztą zostało, że zeznania Końskiego o zwróceniu Misiowi otrzymanych do sprzedaży obrazów, były prawdziwe.

Intrygowała mnie sprawa, jaki tekst kazał Miś przepisać przed śmiercią z książki znajdującej się w antykwariacie.

Pani, która miała to uczynić, nie pracowała już na Świętokrzyskiej. Przeszła na emeryturę i wyjechała z Warszawy.

Mieszkała u syna, który był dyrektorem jednego z PGR w Koszalińskim. Sprawa nie wydawała się zbyt ważna, niemniej jednak skierowałem do niej list, prosząc o wyjaśnienie tej kwestii.

Sporo czasu zajęło nam wyjaśnienie transakcji, jakie Miś przeprowadzał ze Sztosową, wdową po jego kontrahencie z Łodzi.

Była to paskudna baba, stara

i bardzo głupia. Zdaje się, że nie bardzo wiedziała, jakie obrazy sprzedaje Misiowi. Interesował ją jedynie rozmiar płó-

cien oraz ich ramy. Obrazy bez ram uważała zdaje się za bezwartościowe.

Wyjaśnienie kwestii samochodów też okazało się nad podziw trudne. Zwróciliśmy się do wydziałów komunikacji z prośbą o informację, kto z obszernej listy osób posiadał auto w styczniu i lutym 1963 r. Nie było łatwo wyszperać te informacje. A gdy wreszcie zgromadziliśmy je w komplecie, okazało się, że cała robota psu na budę. Tak na przykład wydział komunikacji z Łodzi, zapewniał, że Józef Polanowski nie posiadał w ogóle samochodu. Natomiast niektórzy świadkowie zeznali, że w tym czasie przyjeżdżał do Warszawy własnym NSU-Princ.

Przesłuchaliśmy go na tę okoliczność. Najpierw się wypierał, ale wobec oczywistych faktów musiał ustąpić. Wyjaśnił, że bardzo bał się urzędu finansowego Kupował samochody na umowę wystawioną in blanco. Jeździł takim wozem rok albo półtora, nie rejestrując go na własne nazwisko. Potem samochód sprzedawał, starą umowę zaopatrując tylko w świeżą datę i wypełniając nazwisko nowego nabywcy.

W rezultacie nie mogliśmy mieć pewności, która z przewijających się przez sprawę osób, krytycznego dnia dysponowała wozem.

Kilkakroć odwiedziłem jeszcze młodego Fariaszewicza. Bardzo sympatyczny facet, pomagał mi w ustalaniu listy znajomych ojca. Nie zdziwiłem się wcale, że na tej liście znajdowali się prawie wszyscy kolekcjonerzy i handlarze, przewijający się przez sprawę. Obok tego wyszło parę innych interesujących osób. Starego Fariaszewicza często odwiedzał sąsiad z tej samej ulicy, Krzysztof Gródecki. Elektronik twierdził, że ojciec wyrzekał, że Gródecki ciągle zawracał mu głowę, aby wspólnie przeprowadzili jakąś transakcję obrazami. Młody Fariaszewicz mówił, że jego ojciec raczej kolekcjonował niż handlował, lubił jednak opowiadać, jakie to wielkie transakcje dziełami sztuki mógłby przeprowadzić. Gródecki na mawiał, aby go dopuścić do spółki, a ściślej mówiąc, do udziału w zarobku. W zamian za to obiecywał, że on narai Fariaszewiczowi transakcję takim obrazem, jakiego nie powstydziliby się największe muzeum. Fariaszewicz nie bardzo w to wierzył, mówił, że Gródecki jest małym hochsztaplerem, który poluje na każdy zarobek, jeśli tylko ryzyko nie jest zbyt wielkie. Najchętniej pożyczzał pieniądze na wysoki procent, pod solidny zastaw

Ten trop mógł wieść do nikąd, ale musieliśmy go sprawdzić.

Okazało się zresztą, że Gródecki doczekał się już zainteresowania ze strony milicji. Chyba wszystkie warszawskie komendy dzielnicowe MO prowadziły przeciwko niemu dochodzenie.

Na Grochówie miał sprawę

o fałszywe oskarżenie połączone z próbą wyłudzenia. Inną sprawę prowadziła komenda śródmieście. Otóż Gródecki, czło-wieczek raczej niewysoki i mało reprezentacyjny, w czerwcu, w okresie egzaminów wstępnych, ubierał się w ciemny garnitur i kapelusz, brał do ręki laskę

i spacerował przed politechniką. Gdy rodzice, którzy odprowadzali właśnie swoje pociechy, pytali się o drogę do sali egzaminacyjnej, Gródecki wyjaśniał, dodając mimochodem, że jest właśnie dziekanem tego wydziału, na który dana pociecha miała zdawać. Ten chwyt niemal zawsze skutkował.

Zachwyceni rodzice zapraszali pana dziekana na kawę i przypuszczali szturm, aby przyjął synka czy córeczkę na swój wydział. Gródecki najpierw się wzbraniał, a potem kapitulował.

Łapówek nie brał z góry. Dopiero jak potomek nowych znajomych został przyjęty na uczelnię, w czym zresztą żadnej zasługi Grodeckiego nie było, inkasował honorarium. Wpadł przypadkowo, gdy prawdziwemu dziekanowi wydziału mechanicznego przedstawił się jako dziekan tegoż.

Wreszcie w komendzie na Woli przeciwko Gródeckiemu toczyło się dochodzenie

o

kradzież samochodu. Gródecki pożyczył od znajomego samochód, a zwracając wóz powiedział, że zgubił kartę rejestracyjną. Następnego dnia ukradł samochód sprzed domu i na podstawie sfałszowanej umowy próbował przerejestrować na swoje nazwisko.

Był to rzeczywiście aferzysta kiepskiego autoramentu, nie inteligentny. Uważałem za mało prawdopodobne, aby mógł mieć coś wspólnego ze sprawą Misia. Niemniej przesłuchałem go.

Pytany o Misia, twierdził, że znał go doskonale i że udzielał

mu licznych porad, jak przeprowadzać najbardziej skomplikowane operacje finansowe. Gródecki podkreślał, że czynił to za darmo, z sympatii do Misia. Kiedy mi jeszcze wyjaśnił, że Miś jego zdaniem utrzymywał się z prowadzonego w tajemnicy przedsiębiorstwa taksówkowego, machnąłem ręką na idiotę.

Inna rzecz, że tacy hochsztaplerzy zawsze znajdują naiwnych, którzy im wierzą.

Śledztwo znajdowało się w stadium wyraźnego kryzysu. Zawsze jest taki moment w sprawie, że wydaje się, iż już nie ruszy z miejsca. Ten impas jest bardzo groźny. Rezygnacja, stracenie serca do dochodzenia może spowodować, że nie przyniesie już ono rezultatów. Trzeba po prostu przetrwać

kryzys. Z własnego doświadczenia wiem, że w pewnym momencie, pozornie nawet bez udziału ekipy dochodzeniowej, sprawa nagle rusza do przodu, oderwane poprzednio fakty zaczynają się wiązać w jedną całość.

Niestety, ten stan impasu się przedłużał. Aby tylko nie wypaść z uderzenia, sprawdzałem nawet kwestie, które nie mogły mieć żadnego znaczenia dla sprawy. Przypomniała mi się legenda co do pochodzenia obrazu, jaką Gar przedstawił w Sopocie Waldkowi. Długowłosey siedział grzecznie w areszcie śledczym w Warszawie i tam go odwiedziłem. Bardzo wystraszył się na mój widok. Zaraz zaczął opowiadać szczegóły swej afery przemytniczej i przysięgać, że nigdy by mu nie wpadło do głowy strzelać do mnie. Strach nie przeszedł mu nawet wtedy, gdy wyjaśniłem, że nie mam pretensji o tę strzelaninę i nie interesuje mnie jego działalność przestępcza, a jedynie to, dlaczego wymyślił legendę o pochodzeniu obrazu.

— Proszę szanownego pana — Gar mimo więziennego stroju zachował swój efektowny, pozornie wielkoświatowy sposób mówienia. — Liczy się u nas, kto kim jest. Przekonałem się już, że prawdziwy arystokrata łatwiej może wmówić komuś transakcję. Dlatego powoływałem się na swoje arystokratyczne pochodzenie, zresztą ja rzeczywiście pochodzę z hrabiowskiej rodziny.

Nie chciałem mu robić przykrości i przyznawać się, że wiem, iż jego matka była praczką.

— Widziałem kilku prawdziwych arystokratów przy robocie — zwierzał się Gar. Patrzył na mnie nadal ze strachem. — Takich, co mieli arystokratyczne nazwiska...

— Jak na przykład Potocki... — powiedziałem.

— Właśnie, Potocki — powtórzył i szybko zaczął wyliczać inne nazwiska: — Czetwertyński, Radziejewski, Kitwaszewski...

Kizior...

— No, Kizior to chyba nie arystokrata?

— Tak jest, proszę pana — skwapliwie potwierdził Gar — jaki tam z niego arystokrata., zwykły łobuz i tyle — był bardzo zgodny i przyznawał mi natychmiast we wszystkim rację.

Źródło legendy o pochodzeniu obrazu dało się więc bardzo łatwo wyjaśnić, czułem jednak, że coś z tego wynika, coś co mnie niepokoiło, ale nie mogłem zdefiniować co. Obnosiłem się z tym dobre trzy dni. Nagle stuknąłem się w czoło. Kiedyś przypadkowo zauważyłem, że w naszej bibliotece w komendzie znajdu

je się opasły tom: księga adresowa z 1930 roku. Ściślej mówiąc, był to wykaz miejscowości, a przy każdej podano nazwiska tych, którzy coś posiadali, a więc właścicieli fabryk czy majątków ziemskich, a także ubogich warsztatów szewskich i handli śledziami.

Odszukałem miejscowość Przysiałowice. Znalazłem tam następującą notatkę: Folw. wł. Stefan Antosiewicz, 314 ha, młyn wodny. Innych Przysiałowic nie było.

XIII

— Znam mordercę — wyjaśniłem Jerzemu i Waldkowi. — Ściślej mówiąc, dwóch morderców.

Popatrzyli na mnie z powątpiewaniem. — O tym już raz mówiłeś. Wtedy nic ci nie wyszło.

— Ale teraz wiem na pewno. Wiem nawet, jak to się odbyło.

— To na co czekamy? — zapytał Jerzy. — Jeśli masz dowody, zwijamy facetów, zanim nam prysną.

Pokręciłem głową.

— Niestety. Wiem, kto zabił, ale jeszcze tego nie potrafię udowodnić. Sami wiecie, czego wymaga prokurator. Całe szczęście, że sprawcy nam nie ujdą. Myślę, że są dobrze z naszej strony zabezpieczeni. Co najmniej jeden.

— Ale kiedy będziesz miał dowody? — gorączkował się Jerzy.

— Może nigdy. To są cholernie sprytni facety. Jeśli nie zrobią fałszywego kroku, być może nie udowodnimy im nigdy nic.

— Nie dramatyzuj — oponował Waldek. — Jeśli są choćby cienie poszlak, jest wyłącznie kwestią pracy, aby zamieść je w dowody. Wiesz, kto podpisał ten list do starego Fariaszewicza?

— Wiem. Rozmawiałem z nim, zresztą nie tylko ja. Wtedy tylko nie skojarzyłem, że dowód mam tuż pod ręką. Facet mi ten dowód wpychał do ręki. A ja, idiota, nie wziąłem. Teraz na pewno ten dowód jest już zniszczony. To był duży nasz błąd, że zbieraliśmy podpisy wszystkich zamieszanych w sprawę. Chociaż staraliśmy się o dyskrecję, tajemnica była nie do utrzymania.

Jerzy zdenerwował się.

— Może wreszcie powiesz jaśniej, o co chodzi? Kogo podejrzewasz?

Pokręciłem przecząco głową. — To wam nic nie da. Musimy prowadzić śledztwo nadal we wszystkich kierunkach. Nie chcę wam niczego sugerować. Chodzi

o to, aby facet zrobił nareszcie fałszywy krok. Jeśli zorientuje się, że go podejrzewamy, przyczai się i koniec sprawy. On jest gotowy zniszczyć nawet koronny dowód, szkic Michała Anioła, jeśli tylko poczuje się zagrożony. Natomiast prowadząc śledztwo we wszystkich kierunkach i sugerując, że ciągle nie mamy przekonywującego punktu zaczepienia, być może doprowadzimy do tego, że sprawca popełni błąd.

— Mówiłeś, że było ich dwóch.

— Tak, ich było dwóch. Ale tylko jeden dla mnie liczy się w tej chwili.

Jerzy nie taił zdenerwowania. — Jeżeli sądzisz, że możesz grać z nami w ciuciubabkę, jesteś w błędzie. Zresztą twierdzisz, że znasz dokładny przebieg wydarzenia. Może więc powiesz mi z łaski swojej, jaka była dokładna treść tego nieczytelnego ostatniego listu Misia?

Roześmiałem się. — To jest bez znaczenia — powiedziałem. —

Jak masz ochotę trochę popracować, będziesz mógł znaleźć dokładny tekst tego listu. I to nie w jednym egzemplarzu.

Waldek nie wytrzymał. — Wiesz —

zwrócił się do Jerzego — on mi już zaczyna działać na nerwy.

Ja też mogę powiedzieć, że wiem wszystko i kazać mi wierzyć na słowo.

Roześmiałem się.

— Tajemnica pożegnalnego listu Misia jest wyjaśniona w naszej dzisiejszej korespondencji. Otrzymałem bardzo miłą kartkę od pani Ramockiej.

Popatrzyli na mnie zdziwieni.

— Kto to jest pani Ramocka?

Nie miałem serca już ich męczyć dalej. — Ona była pracownicą antykwariatu na Świętokrzyskiej i przed śmiercią Miś prosił ją o przepisanie dwóch stron z jakiejś książki. Oto, co pani Ramocka pisze — wyciągnąłem list z biurka. — Posłuchajcie: Pamiętam doskonale, jak pan Miś prosił mnie o przepisanie tych stron. To był jakiś dziewiętnastowieczny romans francuski, nie pamiętam tytułu i autora, a tylko wydawnictwo Orgel- brandta i to że książka była w małym formacie, ósemka. Pan Miś prosił, abym przepisała stamtąd list samobójcy. Rozumiecie?

Nie bardzo rozumieli. Wyjaśniłem im: — Miś potrzebował wzorcowy list samobójcy. Potem jednak widocznie zdobył inny.

Zapewne jego treść nie zupełnie mu odpowiadała, dlatego zamiast niektórych słów wprowadził nieczytelne zygzaki. To wyjaśnia zagadkę, że był zarazem spokojny i — jak sądziliśmy na podstawie listu — bardzo zdenerwowany.

—A więc to była mistyfikacja!

— Oczywiście. Ciekawi jesteście, dlaczego? Miś chciał

stworzyć wrażenie, że popełnił samobójstwo, aby go nie szukano. Wyjaśnienie jest tylko jedno.

Ktoś go namówił, aby wyjechał za granicę z Michałem Aniołem, a może z jakimiś innymi cennymi przedmiotami. Możemy przyjąć chyba na pewno, że Miś był człowiekiem bogatym. Jeszcze przed wojną był zamożny, coś tam pewnie odziedziczył, a pieniądze lokował w dziełach sztuki i numizmatach. Podczas wojny jego majątek ocalał. Jeśli potrafił przechować przedwojenne wycinki prasowe, to złote monety tym bardziej. Handlował po wojnie dziełami sztuki. To się dobrze opłacało. Miś nie mógł jednak używać swoich pieniędzy. Bał się, że je utraci, że wydział finansowy zajmie się nim. Dla starych ludzi jest to dość typowe. Dlatego udawał, że nie ma pieniędzy. Ale znudziło mu się takie życie.

Wtedy ktoś zaproponował mu pomoc w wyjeździe za granicę.

Później ustalimy szczegóły. Zapewne proponowano mu wyjazd na fałszywym paszporcie. Miś najpierw wystraszył się tego, co zresztą potwierdza fakt, że w połowie stycznia był bardzo silnie zdenerwowany. Siostrze dał pierwsze z brzegu wyjaśnienie, jakie mu przyszło do głowy. Podświadomie jednak powiedział prawdę: że boi się, czy mu uda się wywieźć za granicę obraz Michała Anioła. Siostra zrozumiała to trochę opatrnie: że chodzi o przerzut samego obrazu. Ale to jest nielogiczne. Miś nie musiał w ogóle sprzedawać tego obrazu, pieniędzy mu starczało.

Waldek zastanawiał się chwilę.

— Z rodziną go rzeczywiście nic nie wiązało. Albo niewiele.

Z akt wynika, że kochał jedynie matkę i starszą siostrę. Obie już nie żyły. Do Kałużyńskich nie był szczególnie przywiązany.

Mógł im ponadto pomagać finansowo z zagranicy. Dla mnie umotywowana jest wersja, że Miś zdecydował się na wyjazd na fałszywych papierach. Sam nie starał się o paszport, to wiemy.

— Początkowo bał się takiego wyjazdu. Ale ktoś umiał kusić dobrze. Wreszcie przekonał starego kolekcjonera, że nie ma żadnego ryzyka. Wtedy Miś odzyskał już spokój. Zdecydował się, nie było powodu do dalszego zdenerwowania. Pamiętacie, że w poniedziałek, mimo że czuł się źle, wyszedł do sklepu i do apteki. Nikt go do tego nie zmuszał. Widocznie wówczas spotkał się z człowiekiem, który organizował jego przerzut za granicę. Umówili się na następny dzień wcześniej rano. Miś wraca do domu, spokojnie czyta gazety. Dopiero gdy wszyscy idą spać, wstaje, segreguje swoje książki, pisze dyspozycje, co z nimi zrobić. Wtedy też zapewne przygotowuje rzekomy samobójczy list. Noc mu się dłuży, nie może doczekać się umówionej pory wyjścia z domu. Dlatego w nocy Kałużyńskiego pyta o godzinę. Ma w pokoju zegarek, ale niecierpliwość wzbiera w nim coraz bardziej. Wreszcie wczesnym rankiem wychodzi.

Jerzy gwałtownie wstał.

— W tym momencie twoja koncepcja się wali — wykrzyknął. —

Zakładasz, że wyszedł z domu spokojny. A wiemy, że wybiegł w panice, o czym świadczy pozostawienie laski i dowodu osobistego. A także pieniędzy.

Roześmiałem się.

— To potwierdza tylko moją koncepcję. Miś nie mógł zabrać ani laski, ani dowodu. Widzieliście jego laskę? Jej zdjęcie jest w aktach. Piękna, bardzo ozdobna. Bał się, że ktoś go po niej pozna. Dowód osobisty był mu niepotrzebny, miał otrzymać paszport na inne nazwisko. Dlatego musiał zostawić dowód, aby przypadkowo nie został on ujawniony przy przekraczaniu granicy. Wreszcie polskie pieniądze nie były mu potrzebne.

Swój majątek miał w czym innym.

— I co dalej? — zapytał Jerzy.

— Sprawa jest bardzo prosta. Ten ktoś, kto skusił Misia, aby wyjechał z kraju, pod tym pozorem ukuł intrygę. Może sądził, że Miś jeszcze przed wyjazdem przekaże mu wszystkie swoje majątki, aby je ukryć — na przykład w skrytce w samochodzie? Sądzę zresztą, że część dzieł sztuki, które posiadał stary kolekcjoner, trzeba było sprzedać przed wyjazdem. Co Miś mógł zabrać z sobą?

Obraz Michała Anioła na pewno. A poza tym same małe przedmioty. Na przykład złote monety, biżuterię. Dlatego w pokoju Misia po jego śmierci nie znaleziono żadnych obrazów. A poprzednio było ich dużo, jeżeli leżały nawet w stercie na podłodze. Wszystkie one zostały sprzedane.

— Zakładasz więc, że sprawcy planując morderstwo, zwabili Misia pod pretekstem wyjazdu za granicę?

— Przypuszczam, że początkowo nie planowali morderstwa.

Sądziło się, że wyłudzą od Misia wszystko. Gdyby im oddał złoto i obraz Michała Anioła, po prostu nie przybyliby na umówione spotkanie. Miś miałby wielkie trudności w udowodnieniu tego wyłudzenia. Pamiętajcie, że on sam stworzył legendę swego ubóstwa, w którą wszyscy uwierzyli. Przestępcy nie docenili jednak Misia. Wszystkie swoje skarby trzyma on przy sobie. Nie chce powierzyć ich nikomu. Wtedy przestępcy znajdują się w wyjątkowo nieprzyjemnej sytuacji. Oczywiście, nie ma mowy o żadnym przetrzymaniu za granicę, bo to była od początku lipa. Miś się w tym orientuje, bo nie ma dla niego paszportu. Wtedy sprawcom łup ginie z oczu. Dlatego najpierw chcą zmusić Misia, aby oddał im swoje skarby. Gdzieś je trzymał. Może w przechowalni na dworcu? Wtedy go zaczynają bić. Później jednak, już po wydostaniu łupu, nie wiedzą, co dalej robić.

Miś zgłosi się na pewno na milicję. Chcą uzyskać od niego obietnicę milczenia i grożą mu śmiercią. Wreszcie decydują się zapewne na morderstwo. Nie jest to jednak powiedziane.

Może po prostu chcą go porzucić gdzieś — w cichej nadziei, że stary kolekcjoner nie wytrzyma i umrze na serce. W każdym razie czekają do zmroku. Zapewne sprawdzają w międzyczasie, jakie skutki wywołało zniknięcie Misia. Przed zmierzchem wywożą go za miasto. Osobiście przypuszczam, że chcieli go zostawić w

lesie. Byłby to zresztą wyrok śmierci. Miś mógł przejść zaledwie paręset metrów. Pozostawiony w lesie, zasłabły i nim by go ktoś znalazł, umarłby. W jaki sposób doszło do morderstwa? Przypuszczam, że nastąpiło to, gdy przewozili Misia samochodem. W pewnym momencie wszczął on głośny alarm.

Wtedy jeden ze sprawców uderzył go czymś ciężkim w głowę.

Chciał ogłuszyć, zresztą było mu wszystko jedno, co się stanie, aby tylko Miś przestał krzyczeć. No i dalej wiecie...

— Ale kim byli ci sprawcy?

— Miejmy nadzieję, że zgromadzimy odpowiednie dowody.

XIV

Spodziewany przełom nadszedł. Otrzymałem wiadomość, że interesująca mnie osoba uzyskała paszport na wyjazd do rodziny w Austrii. Czekałem spokojnie. Dwa dni później miałem już meldunek, że wykupiono bilety lotnicze. Odlot następował z Okęcia, w najbliższy wtorek.

Nad sprawą Misia pracowaliśmy pełną parą. Przesłuchiwaliliśmy coraz to nowe osoby, poszerzając krąg śledztwa. Teraz już zajmowaliśmy się nie tylko znajomymi Misia, ile znajomymi jego znajomych. Często nie wiedzieli oni w ogóle, że Miś żył

kiedykolwiek. Wszystkich pytaliśmy o samochody, tak że sprawa dla niektórych wyglądała jak dochodzenie w wielkiej aferze automobilowej.

Wreszcie nadszedł upragniony wtorek. Na wszelki wypadek przygotowałem trzy radiowozy.

Sprawa zbliżała się do końca i wołałem przedsięwziąć wszelkie środki bezpieczeństwa. Nie obawiałem się, aby osoba, na którą zastawiłem się, zdołała nam uciec. Bałem się tylko, aby nie zniszczyła dowodu przestępstwa. Wówczas wiedziałbym, kto zabił, ale nie mógłbym oddać go w ręce sprawiedliwości.

Samolot odlatywał o trzynastej, o dwunastej rozpoczynała się odprawa celna.

O jedenastej wezwałem kolegów na krótką naradę.

— Za pół godziny zaczynamy operację — powiadomiłem. —

Podzielimy się rolami. Przykro mi, Waldek, ale ciebie nie będzie przy kulminacyjnym momencie. Weź dwóch funkcjonariuszy i jedźcie na Rakowiecką. Przywieziecie stamtąd Gara do komendy. Wszystkie papiery są przygotowane, więzienie uprzedziłem. Przewoź go w bransoletkach. Jak go tutaj dostarczysz, rozpocznij od razu przesłuchiwanie. Pytaj go, o co chcesz, byle dużo i szybko. I ani słowa o sprawie Misia.

— Tę więc Gar? — Jerzy był zdumiony. — A więc twoja pierwsza koncepcja była prawdziwa? Po co jednak facet mieszał się w ten handel falsyfikatem?

— Gar jest znacznie sprytniejszy niż na to wygląda —

powiedziałem. Przypomnij sobie, co opowiadała- Małaszewi- czowi o sprzedaży Garowi tej kopii. Gdy zaczęła go w kawiarni, był wyraźnie nie zainteresowany kupnem kopii. Po dwu dniach — naradziwszy się z kimś drugim — przybiegł do niej i kupił natychmiast, przepłacając zresztą. Otóż mordercy nic nie wiedzieli o istnieniu kopii. Ta wiadomość spadła na nich, niczym główna wygrana w totolotku. Bo jeśli Madonna z Dzieciątkiem znalazła się, to znaczy, nikt jej Misiowi nie zagarnął. Zwróćcie uwagę, że mniej więcej w tym samym czasie, gdy Gar kupuje rzekomego Michała Anioła od Małasze- wiczowej, próbują przez Potockiego zbadać możliwości sprzedaży oryginału w Szwecji. Uważają że są już kryci. Ale potem znów stają się ostrożniejsi. Czeka

ją. Wreszcie dają do sprzedaży kopię. To jest tylko rozeznanie terenu. Chcą spraw.- dzić, czy milicja już zapomniała o tej sprawie. Przy okazji zresztą Gar ma nadzieję na uboczny zarobek, jeśli wtrąni kopię jakiemuś frajerowi. Żebyśmy nie odkryli, że Miś posiadał dwie Madonny z Dzieciątkiem, zbrodnia nie zostałaby nigdy wykryta. Ale jedźmy już kończyć sprawę.

W drodze na lotnisko wypaliłem chyba z pięć papierosów.

Wysiedliśmy z boku, chyłkiem przebiegliśmy przez wielką po- czekalnię na parterze. Czekał już na nas funkcjonariusz.

Wprowadził mnie z Jerzym do pomieszczeń celników. Czuję się nieswojo, bo z balkonów na pierwszym piętrze można było nas zobaczyć.

Nareszcie zaczęła się odprawa samolotu do Wiednia.

Oczekiwana przeze mnie osoba ustawiła się grzecznie w kolejce.

Facet był spokojny, palił papierosa. Tuż za nim, z biletami lotniczymi w garści, stanęła jedna z naszych funkcjonariuszek w towarzystwie dwu kolegów.

Wreszcie nadszedł kulminacyjny moment. Celnik otworzył dużą skórzaną walizkę. Wiedział, czego ma szukać, lecz po jego niepewnych ruchach domyśliłem się, że nie wie gdzie.

Przerzucał rzeczy, sprawdzał, macał podszewkę. A jeśli nie znajdzie? Nie mamy najmniejszych podstaw, aby zatrzymać podejrzanego. Czyżby przed samym nosem miał nam wyfrunąć?

Jerzy zaciskał pięści, był równie zdenerwowany jak ja. Nagle zaklął głośno? wyskoczył z ukrycia, odepchnął celnika i wyrwał naszemu klientowi laskę z ręki. Jednym szarpnięciem odłączył od niej ozdobną rączkę. — Jest — zawołał triumfalnie.

Zaczął wyciągać z wydrążonej laski jakiś rulon.

Przestępca rzucił się na niego, jakby chciał ten rulon wyrwać. Nie zdążył, koleżanka z

operacyjnego przytuliła się do niego z lewej strony. Z prawej uczynił to jej towarzysz. Jerzy rozwinął rulon. Ta Madonna z Dzieciątkiem też nie zrobiła na mnie wrażenie. Stanowczo wolę impresjonistów francuskich.

Wyszedłem z ukrycia. — Nie róbmy zbiegowiska, panowie —
powiedziałem. — Ludzie już zaczynają się gapić. A ponadto w komendzie pan Gar czeka niecierpliwie na konfrontację.

Schwytany miał wściekły wyraz twarzy.

— No cóż, wtorek jest również i dla pana feralny —
powiedziałem. — Mam rację, panie Koński?

Miałem dużo szczęścia. Okazało się przy rewizji, że nie zniszczył tej umowy z Garem o dzierżawę willi. Umowa podpisana była tym samym zygzakiem co list do starego Fariaszewicza.

KONIEC